

ZARANIE ŚLĄSKIE

~~29974~~



Paweł Steller

Wiśła-Dzilechcinka

ROK XIV

ZESZYT 1

SPIS RZECZY

<i>Peiper Tadeusz</i> , Odgłosy sprawy Górnego Śląska w Hiszpanii w r. 1921	1
<i>Hierowski Zdzisław</i> , Trzy tomiki poezji	4
<i>Stojanowski Karol</i> , Z badań nad antropologią Śląska	8
<i>Galicz Jan</i> , Felieton literacki w najstarszych pismach Śląska Cieszyńskiego	12
<i>Miśniakowska Jadwiga</i> , Jednej z najlepszych matek	18
<i>Szewczyk Wilhelm</i> , Bunt rudowłosych aniołów	19
<i>Kwiatkowski Jan</i> , Z siedziby Karola Miarki (Dokończenie)	23
<i>Probosz Jerzy</i> , Wesele górali istebniańskich, Akt II	35
<i>Pollak Roman</i> , Krytyczne uwagi nad krytycznymi uwagami	44
<i>Materiały</i>	48
<i>Recenzje i sprawozdania</i>	53
<i>Kronika</i>	61

**„Zaranie Śląskie” jest organem Instytutu Śląskiego w Katowicach i Towarzystwa
Ludoznawczego w Cieszynie**

Redakcją kieruje komitet

w skład którego wchodzi: dr Roman Lutman, dyrektor Instytutu Śląskiego w Katowicach
i dyr. Franciszek Popiołek, prezes Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie

Sekretarz redakcji i redaktor odpow.:

Ludwik Brożek, Katowice, ul. Francuska 12 (Śląska Biblioteka Publ. im. J. Piłsudskiego)
Adres administracji: Paweł Bocek, Pszczyna, Skr. pocztowa 25

Prenumerata wynosi rocznie 8 zł wraz z przesyłką pocztową, w Czechosłowacji 4c Kcz

Cena numeru pojedynczego 2 zł

P. K. O. Katowice 308.084 — P. U. C. Praga 30.693

(Konto Tow. Oszczędności i Zaliczek w Cz. Cieszynie.)

Poszczególne egzemplarze zamawiać można w księgarniach T. Mikulskiego i Katolickiej w Katowicach, w księgarniach „Dziedzictwa” i „Nowe Kresy” w Cieszynie, oraz księgarni Macierzy Szkolnej w Czeskim Cieszynie

Manuskryptów nie zwraca się

Druk wykonany czcionkami Drukarni „Dziedzictwa” bl. Jana Sarkandra” w Cieszynie

ZARANIE ŚLĄSKIE

R. XIV

BYTOM, CIESZYN, KATOWICE, ORŁOWA—STYCZEŃ I LUTY 1938

Z. 1

Tadeusz Peiper

Odgłosy sprawy Górnego Śląska

w Hiszpanii w roku 1921 w okresie plebiscytu

W czerwcu roku 1937 ukazała się w „Pol-sce Zachodniej” notatka o artykułach, jakie swego czasu, w okresie walk o Górny Śląsk, zamieszczałem w prasie hiszpańskiej. W związku z tą notatką zwrócił się do mnie dyrektor Muzeum Śląskiego, dr Tadeusz Dobrowolski z propozycją zaofiarowania tych artykułów zbiorom pozostającym pod jego opieką.

Z rozmowy, jaką niedawno miałem sposobność przeprowadzić z dyr. Dobrowolskim, wyniosłem wrażenie, że jego konserwatorskiej troskliwości mogę z zupełnym spokojem powierzyć te — proszę mnie zrozumieć — drogie mi materiały, z którymi związany jestem sentymentem, pochodzącym z wzięcia udziału w wielkiej sprawie.

Oddając te moje osobiste cenności zbiorom Muzeum Śląskiego, pragnę powiedzieć tu o nich to, co może być orientacją dla przyszłego badacza, a ciekawostką dla muzealnego turysty.

Tak się ciekawie złożyło, że ta seria artykułów hiszpańskich ma swą naturalną introdukcję w artykule polskim, który opublikowałem 28 maja 1921 w NARODZIE, redagowanym podówczas przez Adama Skwarczyńskiego. Przedmiotem tego artykułu było stanowisko, jakie w sprawie Górnego Śląska zajmowały podówczas redakcje dwu dzienników hiszpańskich, w których współpracowałem jako korespondent z Krakowa. Stanowisko to scharakteryzowałem w owym artykule następująco:

Wielki dziennik madrycki EL SOL poświęca wiadomościom z Górnego Śląska więcej miejsca, niż najlepiej informujące z naszych dzienników. Ze względu na pierwszorzędne stanowisko, jakie EL SOL zajmuje zarówno we własnym kraju, jak i za granicą, kierownicy tego dziennika usiłują w każdej sprawie, nie związanej bezpośrednio z interesami Hiszpanii, utrzymać się na poziomie białego obiektywizmu. Informacje więc, jakie dziennik ów umieszcza o Górnym

Śląsku, czerpane są z różnych źródeł, bez pomijania też źródeł niemieckich.

Inne stanowisko zajmuje zasłużony w dziejach polityki hiszpańskiej dziennik barceloński LA PUBLICIDAD. W licznych artykułach, często popieranych życzliwymi nam mapami geograficznymi, opowiedział się on już kilkakrotnie za tezą polską.

Mimo różnicy nastawień tych obu dzienników rola moja w obu była jednakowo trudna. Jako cudzoziemiec, a w LA PUBLICIDAD jedyny nawet cudzoziemiec, musiałem czuwać nad każdym wypowiedzanym sądem, aby owa waziutka granica taktu, nad którą tak łatwo unieść się i — zlecieć, aby ta granica taktu nie doznała przekroczeń. A przecie w sprawie o takiej dziejowej doniosłości, jak sprawa przynależności bogatw Górnego Śląska, nie można było w dowodach i świadectwach rezygnować z najcięższych pocisków argumentacji. Wybrnąłem w ten sposób, że zamiast mówić od siebie, relacjonowałem ciągle artykuły prasy polskiej, układając je syntetycznie w wywód jak najmocniejszy i jak najbliższy myśleniu hiszpańskiemu. Gdy w naszej prasie nie znajdowałem potrzebnych mi w danej chwili sądów, mówiłem o głosach „opinii”, przy czym przypisywałem sobie prawo zaliczać do tych głosów moje własne słowa. Tak to pozostawałem w obrębie informacji, a mimo to zarysowywałem coraz jaśniej w umysłowości czytelnika hiszpańskiego polski punkt widzenia. Było to szczególnie ważne w EL SOL, na którego łamy mogły wtargnąć wrogie nam siły, jak to się stało np. w sprawie Cieszyna, w którą ni stąd ni zowąd wmieszał się pewien kosmopolityczny publicysta, z czego jednak laurów dla siebie nie wyniósł, a odpowiedź, jaką ode mnie otrzymał, złożył na pewno w ciemniejsze kąty swej pamięci.

Seria moich artykułów hiszpańskich zaczyna się charakterystycznym artykułem opublikowanym właśnie w EL SOL. Dnia 2 czerwca 1921 ukazał się na stronie tytułowej tego dziennika charakterystyczny artykuł pt. „Pytania dnia”, w którym na początku

powołuję się na alarmujące wiadomości polskiej prasy o ofensywie, jaką Niemcy mają zamiar zacząć na Górnym Śląsku, w środku mówię o neutralności rządu polskiego w stosunku do akcji powstańców, a na końcu przewiduję możliwość, że akcja Niemców może zmusić rząd polski do wyjścia z bierności.

Po plebiscycie zamieściłem dwa obszernie artykuły w LA PUBLICIDAD, w których starałem się uzmysłowić czytelnikowi hiszpańskiemu, że większość głosów, uzyskana przez Niemcy, nie może zadecydować o losie Górnego Śląska, a to co najmniej z trzech powodów: 1. Ponieważ Traktat Wersalski postanawia, że bazą rozwiązania ma być większość głosów w każdej gminie; 2. Ponieważ Traktat Wersalski przyznaje prawo głosowania mieszkańcom Górnego Śląska, a nie emigrantom, którzy w ilości 200.000 ludzi sprowadzeni zostali z zewnątrz dla wzięcia udziału w plebiscycie i tą właśnie swoją ilością stworzyli większość głosów niemieckich. 3. Ponieważ ilość głosów, uzyskanych przez Niemcy, nie może być uważana za prawdziwy wyraz woli ludności.

Gdy Rada Najwyższa przekazała Lidze Narodów sprawę wyciągnięcia wniosków z plebiscytu, wysłałem do obu dzienników cytaty z ostrych artykułów polskiej prasy i relację o niezadowoleniu opinii, troskliwie wybierając tu materiał najbardziej przemawiający do umysłowości hiszpańskiej.

Liga Narodów powierzyła referat o sprawie górnośląskiej delegatowi Hiszpanii. Był nim wówczas ambasador hiszpański w Paryżu, p. Quinones de Leon. Ale p. Quinones zawahał się i w pewnej chwili pragnął rzec się referatu. Znając stosunek Hiszpanii do Polski, rozumiałem, że powierzenie Hiszpanowi referatu o sprawie górnośląskiej jest w danej sytuacji rozwiązaniem dla nas najpomyślniejszym i że źle by było, gdyby p. Quinones rezygnację swą podtrzymał. Wysłałem więc do EL SOL artykuł, w którym pisałem:

W listach uwierzytelniających, które pierwszy minister pełnomocny Polski wręczył królowi Hiszpanii, znajdowało się wśród wielu rzeczy konwencjonalnych, narzuconych przez sytuację, jedno zdanie, dyskretnie wprowadzone w tekst orędzia, a którego sens polityczny nie mógł ująć niczyjej uwagi. W zdaniu tym rząd polski wyrażał nadzieję, że oba państwa, Hiszpania i Polska, będą współpracowały przyjaźnie w Lidze Narodów. W Polsce zdawano sobie sprawę z rosnącego znaczenia, jakie Hiszpania zdobywa w międzynarodowym życiu politycznym. Politycy polscy rozumieli rolę, jaką będzie odgrywała w sprawach Polski Hiszpania, kraj o najsilniejszej fizjonomii historycznej i najbogatszym doświadczeniu politycznym wśród krajów, które zachowały w czasie wojny neutralność.

I rzeczywiście interweniuje Hiszpania mniej lub więcej aktywnie w wielu zagadnieniach polskich, roztrząsanych przed trybunałem opinii międzynarodowej. Już w rozwoju sprawy Wilna był okres, w którym zdawało się, że p. Quinones de Leon odegra rolę arbitra. Delegat hiszpański w Lidze Narodów wszedł w skład międzynarodowej komisji, mającej przestudiować i rozwiązać konflikt polsko-litewski, a mówiono nawet o oddziałach wojska hiszpańskiego, mających uczestniczyć w międzynarodowym kontyngencie, którego zadaniem byłoby prowizoryczne zajęcie Wilna.

Niedługo potem sprawa śląska ponownie umieściła postać delegata hiszpańskiego na widnokręgu politycznym Polski. Wiadomość, że Rada Ligi ma powierzyć referat o sprawie śląskiej p. Quinonesowi de Leon, przyjęła polska opinia bardzo życzliwie. Nastąpiła rzecz ciekawa. Na ogół Polacy mówią sceptycznie o interwencji państw zagranicznych w sprawy polskie, bo ta interwencja — mówią — zamiast inspirować się kryteriami wyłącznie bezstronności i sprawiedliwości,

jest zbyt dostępna podszeptom interesów własnych. W wypadku p. Quinonesa ów sceptycyzm nie pojawił się. Polacy są przekonani, że położenie geograficzne Hiszpanii i system jej polityki zagranicznej pozwalają jej zawsze utrzymać się na wysokim poziomie obiektywizmu.

To przekonanie samo dla siebie wystarczało, aby wiadomość o zrezygnowaniu delegata Hiszpanii z misji referenta wywołała w polskiej opinii szczery ból. Uczucie to zaostriżyło się jeszcze, gdy dowiedziano się o motywach tej rezygnacji. „Hiszpania, przyjaciółka Francji i Anglii, nie chce zająć stanowiska ani przeciw jednej, ani przeciw drugiej.” „Właśnie — mówią Polacy — o to chodzi, aby Hiszpania nie zajęła stanowiska ani przeciw Anglii, ani przeciw Francji, lecz między nimi. Któż może zrobić to lepiej od delegata hiszpańskiego? Jego autorytet osobisty i prestiż jego kraju — mówią Polacy — przeznaczyły go do odegrania roli mediatora w najważniejszym zagadnieniu europejskim chwili obecnej, do odegrania roli, w której nikt nie potrafi go zastąpić.

Tak to suggestionowałem p. Quinonesa. I może mój artykuł, opublikowany w najbardziej słuchanym dzienniku ówczesnej Hiszpanii, był jednym z czynników, które skłoniły dyplomatę hiszpańskiego do przyjęcia referatu. Mam pewne dane po temu, by w to wierzyć. I czasem, gdy myślę o ostatecznym rozwiązaniu sprawy Górnego Śląska, o tym rozwiązaniu, które choć okroiło ziemię śląską, dało nam jednak jej bogactwa, i gdy myślę o roli, jaką w tym odegrał życzliwy referent-Hiszpan, myślę sobie także o tej kropelce, którą w strumieniu zdarzeń był mój artykuł.

Wysłałem jeszcze do dzienników hiszpańskich kilka innych artykułów o Górnym Śląsku, ale ze względu na mniejsze ich znaczenie, pomijam je tu milczeniem.

Trzy tomiki poezji

W 1937 roku pojawiły się na Śląsku trzy nowe tomy poezji. Ilościowo jest to zatem bodaj najbardziej poetyczny rok w rozwoju literatury śląskiej.

Czytamy nazwiska na okładkach: Janina Zabierzewska, Paweł Kubisz, Edmund Osmańczyk. Na ogół rzecz biorąc, trzy debiuty. Ale np. w zbiorach Zabierzewskiej i Kubisza nie znajdziemy niemal ani jednego nowego wiersza. Wszystkie znane są już z prasy codziennej i periodycznej, większość z nich ma już po kilka lat. A Paweł Kubisz wydaje właściwie już drugi swój tomik. Tylko, że o bardzo młodzińskich „Kajdanach i różach” nikt już dziś nie pamięta. Zatem z trójki tej najbardziej debiutanckim tomem jest zbiór Edmunda Osmańczyka, który dopiero z początkiem bieżącego roku wystąpił na widownię literacką.

I jeszcze jedna rzecz godna uwagi. Z tych trzech książek jedna tylko, mianowicie Zabierzewskiej, ukazała się na Śląsku polskim. Kubisz wydał swą rzecz w Czeskim Cieszyńsku jako pierwszy tom biblioteki Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego w Czechosłowacji, Osmańczyk natomiast w Opolu. Znajdziemy więc w tych poezjach widomy znak jedności wszystkich trzech części podzielonej ziemi śląskiej, przemówią w nich trzy środowiska życia polskiego na Śląsku w tak odmiennych znajdujące się warunkach. Szkoda tylko, że podział Śląska wypadł tu tak blado.

Najwcześniej ukazał się tom Janiny Zabierzewskiej, zatytułowany „Przez śląskie okno”¹⁾. Podzielony na pięć cykli obejmuje on wiersze o bardzo różnorodnej tematyce i nastroju. Tematy śląskie stanowią wyłączną

treść cyklu pierwszego, przeważają w drugim i w trzecim. Najobszerniejszy cykl tomu stanowi liryka refleksyjna i nastrojowa, ostatnie wiersze tomu wnoszą czysto osobiste akcenty liryczne.

Pierwsze utwory wprowadzają nas od razu w nastrój zachwytu nad pięknem ziemi śląskiej, entuzjazmu dla jej wysiłku i pracy. Bogactwo krajobrazu śląskiego, który łączy w sobie naturalne piękno przyrody z surowym widokiem ziemi ujętej w bloki i kominny kopalni i hut, czar ziemi cieszyńskiej a zwłaszcza Beskidów, rytm twardej i ciężkiej pracy ludu śląskiego, wysiłek zbiorowy, wiodący do coraz nowych zdobyczy i ku nowym drogom rozwoju, wszystko to fascynuje poetkę i każe jej wypowiadać słowa najwyższej pochwały i najżywszych uniesień. W innych wierszach oddaje cześć poległym powstańcom i patriotyzmowi Ślązaków, których polskość przetrwała tak długą i ciężką próbę. Na początku trzeciego cyklu w dwóch wierszach opisuje śmierć stęsknionego za wsią rodzinną hutnika oraz pogrzeb i śmierć górnika. Jeśli dodamy do tego drobne obrazki „Fabryki w nocy” i „W świetle reflektorów” — tematy śląskie uznać musimy za wyczerpane.

Pomimo że Zabierzewska nastraja swoje wiersze na wysoki ton entuzjazmu, nie ma w nich siły, zdolnej narzucić czytelnikowi jej wizję poetycką. Tematy są zgrabnie ujęte, ale nie przeżyte, są dobrze zaobserwowane, ale nie odczute. Wiersze te rodziły się z chwilowych nastrojów, okoliczności zewnętrznych i pewnych przemyśleń, a nie z głębokiego twórczego przeżycia. Dlatego jest w nich dużo deklamacji, jest posmak oficjalnego patosu. Powiedzmy otwarcie: jest to znak dystansu, jaki dzieli Zabierzewską od śląskich tematów, dystansu, cechującego postronnego obserwatora, który nie doszedł

¹⁾ Janina Zabierzewska, „Przez śląskie okno“, Warszawa-Kraków 1937, Wydano z zasiłku Śląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, str. 74.

do pełnego zgłębienia spraw i problemów Śląska, który na sprawy te patrzy zawsze od zewnątrz i dlatego chwytta tylko zewnętrzne ich zarysy, nie umiając dotrzeć do ich istoty. Jest to to samo zjawisko, jakie zachodzi u Zegadłowicza, Żelechowskiego czy Tuwima, słowem u wszystkich tych poetów, którzy patrzyli na Śląsk tylko jako na nowość, jako na świeży, ciekawy temat literacki, którego jednak nie potrafili przeżyć twórczo. I dlatego Śląsk w ich ujęciu nie jest Śląskiem prawdziwym, jest dalekim od mocnej, jędrnej rzeczywistości, która znajduje dopiero wyraz w tym, co piszą poeci związani z nią silnie i bardziej bezpośrednio.

Czego nie można odmówić wierszom Zabierzewskiej, to gładkiej i zawsze poprawnej formy. Są to wiersze proste, zgrabne i łatwe, dzięki dobrej rytmice, szczególnie nadające się do okolicznościowej deklamacji. Nie ma w nich żadnych rewelacji formalnych. Porównanie i przenośnia często jest żywa i barwna, ale równie często napotykamy tu schemat i szablon. Zwłaszcza tam, gdzie do głosu dochodzi nuta patriotyzmu.

By nie pominąć dalszych cykliów, podkreślić trzeba doskonałość niektórych wierszy nastrojowych („Fragment z małego miasta”, „Ulewa”, „Cisza” i inne). W tym gatunku poezji ukazuje Zabierzewska czasem świetne chwytty. Wiersze te przenika nastrój spokojnej, głębokiej i serdecznej zadumy. Są w nich przeżycia bliższe autorce, niż tematy śląskie. Ponieważ wiele z nich powstało na podłożu śląskiego krajobrazu i śląskich motywów, usprawiedliwić nawet można tytuł całości „Przez śląskie okno”.

W zupełnie inny świat uczuć i przeżyć przenosi nas Paweł Kubisz w swym zbiorze „Przednówek”²⁾. Tam wiersze gładkie, równe, spokojne, tu twarde, chropowate, wyrąbane w gwarze zaolzańskiej. Tam nastroje,

zaduma, deklamacyjny patos, tu uczucia mocne, gorące, buntownicze, wypowiadające się nieskrępowaną bezpośredniością i ostrymi akcentami:

...Zahulej, zatańcuj, klnij wierszu i mów!
Z goryczy se urznij nahajke i bicz —
Zarympluj, wiyrgyzotej, bier słowa i smycz...

Wydlubej, wyszarpej z dna boleść i wyj
Do pustki chwil naszych, zatarmoś, gwizdź, ryj!
...Z trucizny i jadu — z otyrchłości dni —
Wychluśnij poemat, zwrotkami sie pnij...

(„Akordy”).

Tom Kubisza wypełniają niemal całkowicie dwa większe poematy: obszerna „Ballada o hawiijskim Śląsku za Cieszynem” i krótszy poemat „Co to młody gorol prawił, jak sie mu na śmierć niosło”. Poza tym mamy tu krótki wiersz wstępny „Akordy” oraz dwa doskonałe dłuższe wiersze „Roz zbujujnicki duchy wstały” i „W Gutach jest muzyka”.

„Ballada o hawiijskim Śląsku”, to buntowniczy śpiew o niedoli ludu cieszyńskiego w przeszłości i teraźniejszości. Oryginalna jest jej konstrukcja. Temat skłania do ujęcia epicznego. Kubisz jednak nie idzie utartą drogą. Rezygnuje z ułatwień, jakie daje epika i równocześnie omija jej wysokie wymagania. Centralnym zagadnieniem i osią utworu uczynił walkę ludu z niewolą społeczną i narodową. Zobrazował ją fragmentami w jedenastu dłuższych i krótszych utworach. Poszczególne utwory poświęcone są różnym etapom tej walki, różnym jej fazom i nasileniom. Znajdzie tu miejsce poeta na niedole pańszczyzny, na opis buntu zbrojnego górali, poświęci osobny wiersz „emigrantom” z b. Galicji i nastrojom rodzącym się z przemian spowodowanych wielką wojną. Dawne i nowe czasy oddziela pełnym ekspresji „Nowym prologiem”. Druga część zamyka „Balladę” zawartą w pięciu wierszach obrazem dni dzisiejszych.

Cała „Ballada o hawiijskim Śląsku za Cieszynem” utrzymana jest w tonie ponurej, okrutnej grozy. Gwałt, terror, bezskuteczne, krwawo tłumione bunty, uczucia straszliwej nienawiści, oto jej treść i nastrój. Odnosi się często wrażenie, że poeta z gory-

²⁾ Paweł Kubisz, „Przednówek”, Czeski Cieszyn, Nakładem Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego w Czechosłowacji, Okładka i ilustracje Franciszka Świdra, str. 68.

czą i pasją przejawia pewne fakty, wyolbrzymia uczucia i zdarzenia.

Ta sama beznadziejna rozpacz, poczucie położenia bez wyjścia, cechuje i drugi poemat w tym zbiorze, „Co to młody gorol prawił, jak się mu na śmierć niosło”:

Nic wóm herbowoł nie bedym —
Jyny smutek, jyny biyde —
Jyny nasze pomiatani,
Jyny to żywy kónani!

Jyny to pluci nóm w gęby
od każdego i zewszędy!
I tóm boleść niemówiönóm,
W dusze, w serca wkorzyniönóm.

Z tej beznadziei i nędzy wyrasta gwałtowny, demoniczny bunt przeciw Bogu i ludziom:

Nie znóm twójigo oblicza,
Znóm krzywdę, kieróm nas ćwiczysz!
Tyś bóg, los, szatan, odpłata —
Chciołech boga... naszłech kata!

Zopolić wiecheć, obnosząc,
W grómade wszystkich porozproszając!
I zacząć hnet porachunek — — —
Kolbiska chyćić za trzónek.

Niemal cały „Przednówek” to krwawy manifest społecznej i narodowej krzywdy, buntu, walki, przeżarty potężnym, instynktowym, nieopanowanym pędem do zemsty, odwetu, mordu i zniszczenia. Krew za krew, krzywda za krzywdę! Dlatego wrażenie całości jest przygniatające i straszliwie ponure. Protest, który Kubisz poezją swoją wypowiada, nie dojrzał w nim jeszcze i nie zmęźniał.

Kubisz pisze tylko gwara. Nie usiłuje wzbogacać języka literackiego jej wartościami, stylizować go jej słownictwem i zwrotami, przeciwnie, raczej z narzecz literackiego czerpie hojnie, transkrybując wiele jego materiału w duchu gwary, którą się posługuje. I to jest właśnie słaba strona jego formy poetyckiej. Stopień zharmonizowania gwary z językiem literackim jest często niedostateczny, często poeta chce wyrazić stan, przeżycie, uczucie, czy stworzyć metaforę lub porównanie, na które nie znajduje tworzywa językowego w swym narzeczu. Wtedy często powstają dziwolągi. Obcy prostocie

gwary zwrot poetycki, operujący słownictwem wybitnie literackim, odpowiednio sfonetyzowany i transkrybowany, razi nienaturalnością i dziwactwem. To samo da się powiedzieć o zwrotach czysto literackich w gwarowym kontekście. Kilka przykładów:

Duszóm mi się męka leje,
W boleść kwitnie, boleść sieje —
W duszy męka pobekuje,
Gryzie, kopie, niech otruje!

Wyleć w zawieje płomiyniu wiary,
Szuteróm gradu — świszczynim biczy,
Sercym ubitym, — kopnięć ciynżarym —
...I głuchóm salwóm chciyj się rozkrzycheć!

...Żle Pónbók w niebie życi zamierzył,
Tam ludzie w złocie — tu ludzie nadzy.

Rośniesz nóm młodości w wzburzyni i w śpiyw,
W surowość odpłaty — w kipący serc gniyw —
My wzgardóm uszczuci, wykuwóm swój dziyn
Na radość, na smutek, na blaski, na ciyn...

Kubisz w użyciu gwary niewątpliwie przesadził i tym zubożył wartości formalne swej poezji i w wielu wypadkach osłabił siłę jej ekspresji. Znając poprzednią redakcję tych samych wierszy, stwierdzamy, że uczynił to celowo, odbierając wielu słowom literackim lub do literackiego zbliżone brzmienie. Tę samą przesadę stwierdzamy w pisowni, która sili się na jak najjaskrawsze odróżnienie się od normalnej.

To zagadnienie powinien poeta jeszcze dobrze przemyśleć. Poezja jego może z tego wyjść tylko pomnożona o nowe wartości.

Niemniej wiele wierszy ukazuje również mistrzowskie operowanie materiałem językowym gwary. Zwłaszcza uwydatnia się to tam, gdzie poeta dostraja ton i rytm wiersza do poezji ludowej („Roz zbudnicki duchy wstały”, „W Gutach jest muzyka”). Gwara umiejętnie stosowana daje często wierszom jego wspaniałą plastykę i siłę wyrazu, której niewątpliwie nie uzyskałby, operując tylko materiałem językowym narzecza literackiego.

Paweł Kubisz zaprezentował się „Przednówkiem” jako oryginalny, utalentowany, rasowy poeta, który jednak znajduje się

w początkowym stadium rozwoju. O dużych możliwościach tego rozwoju świadczą bez wątpienia liczne fragmenty tego zbioru o wysokiej poetyckiej wartości. „Przednówek” wyróżnia się piękną, można rzec, luksusową szatą graficzną. Składa się na nią dodanie kilku ilustracji Franciszka Świdra, ozdobniki, piękny krój czcionki. Rzadko widuje się tak starannie wydane tomiki poezji.

I wreszcie trzeci tegoroczny debiutant: Edmund Osmańczyk³⁾. Jego debiut spotkał się ze szczególnym zainteresowaniem i szczególnie życzliwym przyjęciem. Zasadniczo powodem tego zainteresowania młodym poetą, których przecież tyłu bez wrażenia w Polsce co rok debiutuje, były raczej względy pozaartystycznej natury. Osmańczyk we wstępie do swego tomiku przedstawił się z ujmującą prostotą, jako rodak z Dolnego Śląska, zamieszkały stale w Niemczech, mówiąc o sobie, że paszport ma niemiecki, ale serce polskie. Poza tym najlepsze wiersze w tym zbiorze zawarte fakt ten potwierdzają ponad wszelką wątpliwość. Narzucają one całości gorący ton tęsknoty za ojczyzną i mocny ton walki, jaką stacza za tamtą granicą żywioł polski z naporem niemieczyny w obronie swych praw do narodowego bytu.

I kto wie, czy Osmańczyk, pomimo najżyczliwszego przyjęcia, nie jest trochę rozczarowany tym pominięciem artystycznej strony jego twórczości na rzecz jej aktualnej atrakcyjności. Ale nie powinien mieć o to żalu. Faktem jest bowiem oczywistym, że właśnie tam, gdzie wypowiada bohaterstwo ludu polskiego w Niemczech, okazał się naprawdę godnym uwagi, dobrym poetą.

Całość zbioru jest nierówna. Trzy pierwsze cykle: „Złe miasto”, „Włóczęga” i „Młodość” są ogólnie słabsze od cyklów końcowych „Walka” i „Polska wieczna, mocna i bogata”. Pierwsze cykle mają może bardziej wyrównaną formę, ale zbyt dużo w nich jeszcze młodzieńczego patosu i deklamacji. Wyróżnia się w nich wiersz „Lwów”, „Cza-

ry”, dwa erotyki i niektóre utwory drobniejsze („Opowieść prawdziwa”). Podobnie zresztą ma się sprawa i z dalszymi cyklami. I tam mamy też wiersze słabe, niektóre nawet są bardzo słabe i nie przedstawiają poetyckiej wartości. Ale dominuje nad nimi kilka, których doskonałość świadczy dobrze o talencie młodego poety. Do tych zaliczyć należy: „Polska”, „Wiosna”, „O, ziemio nasza”, „Walka”, „W Opolu”, „Inwokacja”. Wiersze z przekonującą siłą mówią o uwielbieniu utraconej ojczyzny, wierze w jej moc i żywotność, w misję, jaką ma do spełnienia, mówią o duchu wytrwania i walki u Polaków, którzy zostali w granicach Niemiec.

Zasadniczą cechą poezji Osmańczyka jest młodzieńczy entuzjazm, pogoda i radość życia. To ostatnie uczucie może poeta nawet zbyt często manifestuje i w zbyt uproszczonej czasem wyraża formie. Przy tym wiersze tego cechuje wielka prostota w najlepszym tego słowa znaczeniu, prostota bezpośredniości w wypowiedaniu swych szczerych i głębokich uczuć. Nie ma tu pogoni za błyskotliwym efektem, element emocjonalny i treściowy nie ginie w usiłowaniach, zmierzających do jak największej oryginalności formy poetyckiej. Forma ta niemal zawsze jest gładka i poprawna, a w wielu wierszach uderza śmiałością, pięknem i plastyką obrazowania, subtelnością rymu, doskonałością rytmiki.

Nieuleganie łatwości pisania, unikanie szafowania wiosną i słonecznością, pogłębienie ideowe twórczości, oto zasadnicze postulaty, jakie trzeba postawić temu interesującemu poecie.

Przy okazji warto zaznaczyć, że Osmańczyk okazał się również doskonałym prozaikiem. Píše obecnie powieść z życia Polaków w Westfalii, której pierwszy, bardzo dobry rozdział odczytano na październikowym wieczorze literackim „Kuźnicy”.

Oto wydawniczy plon poezji śląskiej w roku 1937. Niewątpliwie jest to znak, że Śląsk zaczyna się wreszcie dorabiać własnej poezji.

³⁾ Edmund Osmańczyk, „Wolność jest słowna”, Opole 1937, str. 64.

Z badań nad antropologią Śląska

Skład rasowy młodzieży poborowej powiatu pszczyńskiego

Przeprowadzając w zeszłym roku badania nad katowicką młodzieżą poborową¹⁾, wysunąłem kilka zagadnień naukowych, których na podstawie materiału katowickiego nie można było rozwiązać. W bieżącym roku przeprowadziłem małe badania kontrolne w pobliskim powiecie pszczyńskim przy komisji poborowej w Mikołowie. Badania, które mogłem przeprowadzić dzięki stypendium Senatu Uniwersytetu Poznańskiego, objęły poborowych wiejskiej okolicy Mikołowa, jednakże bez miasta Mikołowa.

Skład rasowy zbadanej serii przedstawia tabela I.

Tabela I

Ogół poborowych powiatu pszczyńskiego rocznika 1916 w porównaniu z ogółem poborowych rocznika 1915 w Katowicach.

T y p y	Poborowi z pow. pszczyńskiego		Poborowi z Katowic w 1915	Różnica
	Lb.	%		
Nordyczny α	17	7,87	5,92	+ 1,95
Sublaponoidalny β	17	7,87	10,31	- 2,44
Subnordyczny γ	74	34,26	30,27	+ 3,99
Dynarski δ	26	12,04	12,06	- 0,02
Alpejski ω	35	16,20	21,71	- 5,51
Laponoidalny λ	20	9,26	7,24	+ 2,02
Armenoidalny χ	7	3,24	1,54	+ 1,70
Litoralny ς	5	2,33	3,07	- 0,74
Północno-zachodni ι	13	6,02	5,48	+ 0,54
Rudzi	2	0,93	—	+ 0,93
Mieszkańcy nieokreśleni	—	—	2,41	- 2,41
Razem	216	100,02	100,01	

Skład ten, jak widzimy, nie bardzo różni się od składu rasowego młodzieży katowickiej. Tak samo jak w Katowicach na plan

¹⁾ Stojanowski Karol, Z badań nad antropologią Śląska. Skład rasowy katowickiej młodzieży poborowej. Katowice 1937. Stron 30.

pierwszy wysuwają się typy: subnordyczny, alpejski, oraz dynarski, podczas gdy inne typy znajdują się w mniejszości. Niewielkie różnice układają się natomiast w ten sposób, że w powiecie pszczyńskim obserwujemy pewne nadwyżki wszystkich trzech występujących czystych typów rasowych (nordycznego, laponoidalnego oraz armenoidalnego), podczas gdy u miejskiej ludności katowickiej obserwujemy pewne nadwyżki typów mieszanych, za wyjątkiem typu subnordycznego i północno-zachodniego. Potwierdza się zatem wysunięte przeze mnie przypuszczenie, że miasta gromadzą o wiele więcej typów mieszanych. Nadmieniam przy tej sposobności, że analogiczne zjawisko stwierdził przy analizie ankiety pigmentacyjnej R. Virchow²⁾.

O przybliżonym ilościowym nasileniu tego procesu antroposocjologicznego pouczy nas porównanie składu rasowego obliczonego z ilości czystych typów u obu omawianych seryj. Obliczenie to dla materiału z powiatu pszczyńskiego podaję poniżej:

$$\begin{aligned}
 a^2 &= 0,0787 & a &= 0,2805 \\
 l^2 &= 0,0926 & l &= 0,3043 \\
 h^2 &= 0,0324 & h &= 0,1800 \\
 e^2 + 2ae + 2eh + 2el &= 0,1622 & e &= 0,0996
 \end{aligned}$$

$$a + l + h + e = 0,8644$$

W ten sposób obliczona suma elementów dla młodzieży poborowej z Katowic wynosi 0,7705. Różnica między obu sumami jest różnicą dość poważną, równającą się ilości udziału elementu śródziemnomorskiego w serii. Mimo to jednak niedobór czystych typów jest jeszcze bardzo duży. Oczywiście

²⁾ Virchow Rudolf, Gesamtbericht über die von der deutschen Anthropologischen Gesellschaft veranlassten Erhebungen über die Farbe der Haut, der Haare und der Augen der Schulkinder in Deutschland. Archiv f. Anthropologie Braunschweig 1886, t. 16, str. 321.

zaważyła na nim depigmentacja typu laponoidalnego.

Aby w miarę możności zorientować się także i w tym zjawisku, wprowadziłem pewną poprawkę przy określaniu typu laponoidalnego. Liczebność typu laponoidalnego otrzymałem określając ten typ tak samo jak w pracy dotyczącej katowickiej młodzieży poborowej. Oprócz tego jednakże, wychodząc z założenia, że laponoidy mogą zwłaszcza w zakresie pigmentacji wykazywać podobieństwo do ludzi typu subnordycznego i alpejskiego, starałem się wyróżnić u obu tych typów jednostki podobne do laponoidów. Pomiędzy tedy 74 osobnikami jasno pigmentowanymi, zaliczanymi w tabeli I do typu subnordycznego, znalazło się 17 poborowych o szerokich twarzach i szerokich nosach, których określiłem jako ewentualnych jasných laponoidów. U poborowych pierwotnie zaliczonych do typu alpejskiego znalazłem tylko dwu takich, których można by było zaliczyć do typu laponoidalnego. Przy doliczeniu tych 19 poborowych do typu laponoidalnego skład rasowy omawianej serii przedstawia tabela druga.

T a b e l a II

Skład rasowy ogółu poborowych powiatu pszczyńskiego po doliczeniu jasno pigmentowanych laponoidów

T y p y	Liczebn.	%
Nordyczny	17	7,87
Sublaponoidalny	17	7,87
Subnordyczny	57	26,39
Dynarski	26	12,04
Alpejski	33	15,28
Laponoidalny	39	18,06
Armenoidalny	7	3,24
Litoralny	5	2,33
Północno-zachodni	13	6,02
Rudzi	2	0,93
Razem	216	100,03

Wobec tych przesunąć udział typu laponoidalnego urósł do 18,06%, a udział subnordyków spadł do 26,39%. W świetle jednak prawa liczności typów Czekanowskie-

go określenie materiału jeszcze nie zostało poprawnie przeprowadzone. Oto obliczenie sumy elementów zasadniczych:

$$\begin{aligned} a^2 &= 0,0787 & a &= 0,2805 \\ h^2 &= 0,0324 & h &= 0,1800 \\ l^2 &= 0,1806 & l &= 0,4329 \\ e^2 + 2ae + 2el + 2eh &= 0,1622 & e &= 0,0814 \\ a + h + l + e &= 0,9748 \end{aligned}$$

Na niedokładność w sumie elementów mogło wpłynąć zarówno złe oddzielenie jasných laponoidów od subnordyków, jak też i ten fakt, że okolice Mikołowa ulegają także dość dużym ruchom ludnościowym, co prawda o wiele mniejszym aniżeli Katowice.

Celem porównania składu rasowego okolic Mikołowa ze składem ludności katowickiej obliczyłem sumę elementów podstawowych wedle tych samych założeń jak to uczyniłem dla serii katowickiej. Obliczenie to przedstawia się w sposób następujący:

$$\begin{aligned} a^2 &= 0,0787 & a &= 0,2805 \\ h^2 + 2ah &= 0,1528 & h &= 0,2006 \\ l^2 + 2al + 2hl &= 0,5973 & l &= 0,4027 \\ 2ae &= 0,0602 & e &= 0,1073 \\ a + h + l + e &= 0,9911 \end{aligned}$$

Średnia tej serii teoretycznie obliczona wynosi 85,12, podczas gdy średnia faktycznie stwierdzona 84,58.

T a b e l a III

Skład rasowy poborowych z Katowic i z powiatu pszczyńskiego

R a s y	Katowice	Powiat Pszczyzna	Różnica
Nordyczna	24,33%	28,05%	- 3,72%
Armenoidalna	19,85%	20,06%	- 0,21%
Laponoidalna	44,56%	40,27%	+ 4,29%
Śródziemnomorska	11,26%	10,73%	+ 0,53%

Porównując ogół poborowych z Katowic i z powiatu pszczyńskiego, dochodzimy do wniosku, że w Katowicach gromadzi się więcej elementu laponoidalnego i śródziemnomorskiego, podczas gdy w okolicach Mikołowa więcej elementu nordycznego oraz w pewnej mierze armenoidalnego.

T a b e l a I V
Skład rasowy bezrobotnych Polaków
z powiatu pszczyńskiego

T y p y	Bezrobotni		Ogół Polaków w %	Różnica w %
	Lb.	o/o		
Nordyczny	7	8,97	7,58	+ 1,39
Sublaponoidalny	8	10,26	8,06	+ 2,20
Subnordyczny (oraz jaśni laponoidzi)	29	37,18	34,60	+ 2,58
Dynarski	6	7,69	11,85	- 4,16
Alpejski	12	15,38	16,11	- 0,73
Laponoidalny (ciemny)	5	6,41	9,46	- 3,05
Armenoidalny	4	5,13	3,32	+ 1,81
Litoralny	1	1,28	2,37	- 1,09
Północno-zachodni	5	6,41	5,69	+ 0,72
Rudzi	1	1,28	0,95	+ 0,33
Razem	78	99,99	99,99	

Potwierdza się także obserwacja, dotycząca zachowania się bezrobotnych w materiale katowickim. Tak jak w Katowicach, obserwujemy w powiecie pszczyńskim tendencję do ogarniania przez bezrobocie słabo pod względem ilościowym reprezentowanych typów. Wyjątek od tej tendencji stanowią jedynie typ subnordyczny oraz litoralny. Typ subnordyczny, jakkolwiek licznie reprezentowany, wykazuje jednak nadwyżkę u bezrobotnych. Nadwyżkę tę u bezrobotnych powoduje tu istotnie typ subnordyczny, a nie ja-

śni laponoidzi. Tak samo typ litoralny słabo u ogółu Polaków reprezentowany, wykazuje w serii bezrobotnych niedobór. Zaznaczyć zresztą należy, że i w materiale katowickim obserwowaliśmy jedynie tendencję do tego zjawiska z pewnymi nielicznymi wyjątkami.

Skład rasowy poszczególnych grup zawodowych upodabnia się, jak to widzimy z danych tabeli V, dość wyraźnie do składu rasowego poszczególnych zawodów w Katowicach. Zaznaczam przy tym, że rozpatrując różnicowanie rasowo-zawodowe, wyeliminowałem tu, tak jak w Katowicach, mniejszości narodowe. W danym wypadku w powiecie pszczyńskim było tylko 5 Niemców. W powiecie pszczyńskim tak samo jak w Katowicach robotnicy gromadzą o wiele więcej ludzi typu nordycznego i sublaponoidalnego, podczas gdy u rzemieślników uwydatnia się nadwyżka subnordycznego i dynarskiego. U kupców obserwujemy tak jak w seriach rozpatrywanych dotychczas, nadwyżki rasy armenoidalnej i jej mieszanców. Tak samo jak w Katowicach widzimy gromadzenie się u biuralistów typu subnordycznego. Młoda inteligencja śląska wykazuje zgodnie z Katowicami poważną ilość laponoidów oraz niespodzianie dużą ilość dynarczyków. U rolników obserwujemy dużą ilość typu północno-zachodniego.

T a b e l a V
Skład rasowy poszczególnych grup zawodowych u ludności powiatu pszczyńskiego

T y p y	Rolnicy		Robotnicy		Rzemieślnicy		Kupcy		Biuraliści		Inteligencja	
	Lb.	o/o	Lb.	o/o	Lb.	o/o	Lb.	o/o	Lb.	o/o	Lb.	o/o
Nordyczny	—	—	11	11,58	5	6,33	—	—	—	—	—	—
Sublaponoidalny	1	11,11	11	11,58	5	6,33	—	—	—	—	—	—
Subnordyczny (oraz jaśni laponoidzi)	3	33,33	32	33,68	28	35,44	2	25,5	4	57,14	2	22,22
Dynarski	2	22,22	7	7,37	11	13,97	—	—	1	14,29	4	44,44
Alpejski	1	11,11	15	15,79	14	17,73	3	37,5	—	—	1	11,11
Laponoidalny (ciemny)	—	—	8	8,42	6	7,59	1	12,5	1	14,29	2	22,22
Armenoidalny	—	—	4	4,21	2	2,53	1	12,5	—	—	—	—
Litoralny	—	—	2	2,11	1	1,27	1	12,5	1	14,29	—	—
Północno-zachodni	2	22,22	4	4,21	6	7,59	—	—	—	—	—	—
Rudzi	—	—	1	1,05	1	1,27	—	—	—	—	—	—
Razem	9	100,00	95	100,00	79	100,00	8	100,0	7	100,00	9	100,00

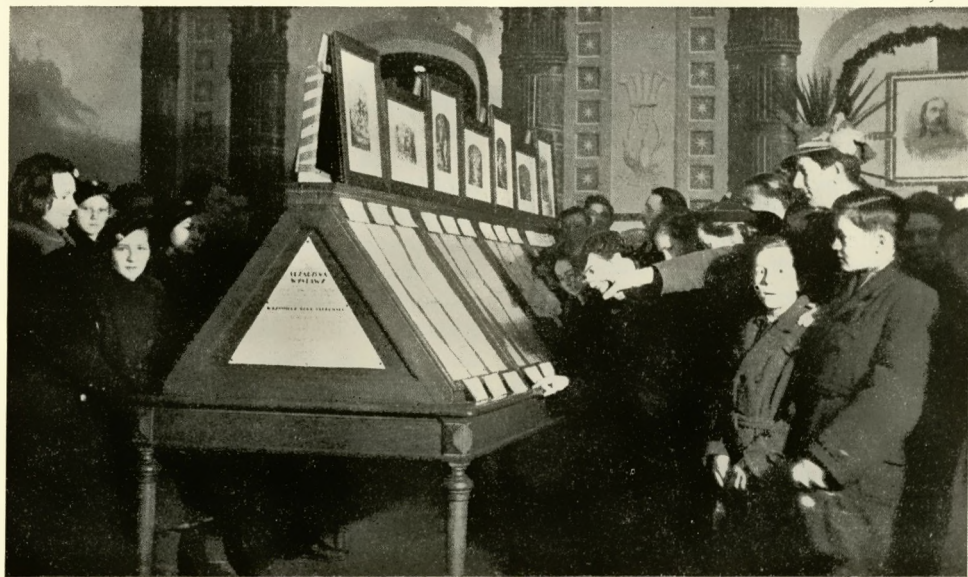
Można tedy stwierdzić, że badania kontrolne przeprowadzone w powiecie pszczyńskim potwierdziły niektóre przypuszczenia zawarte w pracy dotyczącej Katowic. Okazuje się zatem, że:

1) obok osobników ciemno i przejściowo pigmentowanych rasa laponoidalna posiada także osobniki jasno pigmentowane;

2) w miastach istotnie gromadzą się mieszańcy;

3) typy mniej licznie reprezentowane w populacji wykazują tendencję do ogarniania ich przez bezrobocie;

4) doборы zawodowe w powiecie pszczyńskim działają na ogół w tych samych kierunkach, jakie obserwowaliśmy w mieście Katowicach.



Wystawa pamiątek z powstania styczniowego w Cieszynie

Część wystawy z dokumentami historycznymi władz austriackich i tabliczkami zawierającymi streszczenia tych dokumentów (zob. str. 63).

Felieton literacki

w najstarszych pismach polskich Śląska Cieszyńskiego (1848—1878)

W dzisiejszych czasach trudno sobie wyobrazić pismo periodyczne, z wyjątkiem ściśle naukowych, które by było pozbawione felietonu literackiego. A jednak w najstarszym śląskim piśmie polskim, w „Tygodniku Cieszyńskim” (1848—1851) brak właściwego felietonu, czemu się zresztą dziwić nie można, jeżeli się zważy, że to przecież było pierwsze pismo polskie, zmuszone walczyć z nielada trudnościami. To też zamiast felietonu spotykamy tu luźne opowiadania z dziejów Polski i Śląska, opisy krajów słowiańskich i pamiątek Cieszyna, wiadomości z geografii i mitologii słowiańskiej, pogadanki o Piastach cieszyńskich itp. Szczupłe rozmiały pisma i nieznanie zupełnie wśród ówczesnych sfer literackich nazwisko młodocianego redaktora uniemożliwiały prawie rzecz taką jak felieton literacki.

Wychodząca po upadku „Tygodnika Cieszyńskiego” od marca r. 1851 „Gwiazdka Cieszyńska” jako pismo nie polityczne, przynosić miała tylko rozprawki naukowe z zakresu przemysłu i rolnictwa, opowiadania z historii, opisy krajów i narodów itp. Stąd też w pierwszych rocznikach umieszczane są krótkie przeważnie rozprawki na powyższe tematy, ale już także niektóre dłuższe, jak np. „O początkach stworzenia”, „O dobrym wychowaniu dzieci”, „Żywot Tadeusza Kościuszki”, o J. Kollarze itp.

Dopiero gdy po przerwie z r. 1852 zaczęła „Gwiazdka” od marca 1853 ponownie wychodzić, pokazały się w niej pierwsze powieści. Dopiero one stanowią już felieton, pojawiający się odtąd stale i zajmujący więcej miejsca, zwłaszcza gdy od r. 1853 pierwotny nikły format ósemkowy ustąpił ćwiartkowemu.

Powieści te podzielić należy na powieści historyczne śląskie i polskie, słowacko-węgierskie i współczesne obyczajowe. Autorowie pierwszych nie są znani, gdyż utworów swoich nie podpisywali. Ale poprawny na ogół język zdradza, że nie nowicjusze w zawodzie literackim je napisali. Oprócz powieści w zakres felietonu wchodzi prace historyczne, rozprawki naukowe, życiorysy znakomitych ludzi i wiersze, ale tych jest stosunkowo mało.

Szereg powieści historycznych śląskich otwierają „Tatarzy na Śląsku”, powieść z r. 1241 (Gw., 1853). Ujęcie jest oryginalne, bo Batu chan, najeżdżając Polskę i Śląsk, mści się za utratę branki swojej Adelny. Plastycznie, w żywych kolorach przedstawiona jest postać bohaterskiego księcia Henryka II Pobóznego i przebieg nieszczęśliwego boju lignickiego.

Niemniej zajmujący jest w tym samym roczniku „Sejm książęcy”, powieść z r. 1497. Bohaterem jej jest książę opolski Mikołaj,

który za wykonanie zamachu na księcia cieszyńskiego Kazimierza II i biskupa Jana na sejmie w Nysie, został tamże przez sąd mieszczański na śmierć skazany i ścięty.

Najbliższy rocznik pisma przynosi powieść z początku XIV wieku pt. „Wiola, księżniczka cieszyńska i królowa czeska” (Gw., 1854), która kreśli tragiczny los młodocianego króla czeskiego Wacława III, ostatniego z Przemysłidów, na którego zbawienny wpływ wywiera nadobna Wiola, córka pierwszego księcia cieszyńskiego Mieszka I.

Wszystkie powyższe powieści pojawiły się w „Gwiazdce” anonimowo, bez podpisu autorów. Wszelako dość poprawny język i zręczne prowadzenie akcji zdradza ich niepospolite zdolności.

Z kolei do powieści śląskich należy „Górka Klemensowa” (Gw., 1862), powieść z czasów zaprowadzenia chrześcijaństwa na Śląsku, oparta na podaniach ludu górnośląskiego; jest ona jednym z pierwszych dzieł późniejszego niestrudzonego działacza górnośląskiego Karola Miarki.

W dwa lata później (Gw., 1863) pisze zaprzyjaźniony z Stalmachem i Miarką wybitny działacz na polu piśmiennictwa ludowego, Józef Chociszewski, utwór pt. „Piaś”, powieść dziejową dla ludu polskiego. Wkrótce potem (Gw., 1865) pojawia się „Jan Płużek”, powieść śląska z dawnych czasów, napisana przez M. L. i nawiązująca do poprzedniej.

Ale większe od poprzednich zainteresowanie z powodu treści odnoszącej się już do nowszych czasów, musiała wywołać następna powieść (Gw., 1870), mianowicie „Dwór Adama Wacława, księcia cieszyńskiego”, powieść osnuta na podaniach historycznych i opowiadaniach ludowych przez R[oberta] Z[anibala]. Ważny w historii Śląska Cieszyńskiego schyłek wieku XVI i początek wieku XVII wskutek doniosłych przemian na polu zarówno kulturalnym jak i religijnym, znalazł w tej powieści odpowiednie odzwierciedlenie.

Nadzwyczaj ciekawe są także dwa w Cieszyńskim szeroko rozpowszechnione podania, jedno pt. „Hrabia Prażma”, czyli kościółek św. Antoniego na Górze Praszywie, drugie „Ondraszek”, dowódca zbójców. Obydwa podania w formie powieści spisał wspomniany już wyżej R[obert] Z[anibal], nauczyciel w Janowicach. Pierwsze podanie pojawiło się w „Gwiazdce” w r. 1867, drugie w r. 1872.

Na Praszywie wznosił hr. Prażma, pan na Frydku, w r. 1640 drewniany kościółek ku czci św. Antoniego, do którego rok rocznie po dziś dzień w uroczystość tego Świętego zdążają tysiączne rzesze ludu śląskiego. Wyobraźnia ludowa tłumaczy sobie wzniesienie kościółka na tym odludnym miejscu jako akt wdzięczności hrabiego za cudowne ocalenie życia, gdy podczas polowania miał zginać pod rogami rozjuszonego jelenia.

Ondraszek, słynny dowódca zbójców, to postać historyczna, gdyż znaną jest data jego urodzenia i śmierci. Do dziedziny podań natomiast należą wszelkie opowiadania, jako że mścił się tylko na bogaczach, a był prawdziwym ojcem biednych i uciśnionych. Postacią tą zajmują się od dawna literaci po stronie tak czeskiej jak i polskiej, a w najnowszych czasach i kompozytorowie. W „Gwiazdce” przedstawiona jest jedna z najstarszych redakcyj tego podania.

Do powieści śląskich zaliczyć jeszcze należy „Zamek w Głogówku” J. Lompy (1857) i „Księżę Rogatka”, opowieść z dziejów śląskich nieznanego autora z r. 1862. Obydwie są krótkie i żadnymi szczególnymi cechami się nie odznaczają.

Obok powieści z dziejów śląskich pojawiają się rychło także powieści z historii polskiej. Pierwsza z nich „Wygnańcy” (Gw., 1855) jest tłumaczeniem znanego w Cieszyńskim artysty malarza Edwarda Świerkiewicza. Język oryginału nie jest podany (może niemiecki?), a przedstawione tam są losy wygnańca wybitnego rodu na Sybirze po upadku powstania listopadowego, któremu wreszcie

po wielu latach poświęcenie córki umożliwia powrót do kraju.

Autorem następnej pt. „Sierotka”, powieści z r. 1891 (Gw., 1861), jest wybitny gawędziarz Konstanty Gaszyński, zajmujący poczesne miejsce w dziejach piśmiennictwa polskiego. Pytanie, skąd utwór ten mógł się znaleźć w „Gwiazdce”. Prawdopodobnie przedrukował go Stalmach za pozwoleniem autora z innego polskiego czasopisma, gdyż Gaszyński nie znał wcale Stalmacha i stosunkami śląskimi nigdy się nie zajmował. Ale powiastka jest ładna i z pewnością czytelnikom „Gwiazdki” musiała się podobać.

Dalszymi autorami historycznych powieści polskich są Henryk Mierzeński, Edward Świerkiewicz, Konstanty Wojciechowski, Józef Chociszewski i ks. Jan Perges, długoletni współpracownik, znany pod pseudonimem Janka spod Głodomanka.

Henryk Mierzeński napisał powieść pt. „Sawa Caliński”, obrazek z niedalekiej przeszłości (Gw., 1864), na tle okresu ostatnich powstań polskich. „Pogranicze, czyli order Włodzimierza” (Gw., 1866) Edwarda Świerkiewicza jest znów tłumaczeniem z języka niemieckiego. Z werwą i humorem są tu przedstawione przejścia urzędnika pruskiego, który w nadziei otrzymania wysokiego odznaczenia współdziałał ze zbirami moskiewskimi, którzy już po przekroczeniu granicy przez nieszczęśliwych rozbitków z ostatniego powstania na terytorium pruskim jeszcze ich wyłapywali, na co rząd pruski przymykał oczy. Ale sprawa się nie udała, bo wreszcie Prusak sam wskutek pomyłki znalazł się za rogatką rosyjską.

Anonimowo wyszły: „Poświęcenie”, obrazek z czasów pierwszego rozbioru Polski (Gw., 1867) i „Śmierć szpiega”, obrazek z powstania r. 1863 (Gw., 1869). Do odległych czasów należą „Trzy litwinki” Józefa Chociszewskiego, obrazek z czasów zaprowadzenia chrześcijaństwa na Litwie (Gw., 1862). Wreszcie ostatnią polską powieścią historyczną z czasów pierwszego trzydziestolecia Gwiazdki (1876) jest „Wachmistrz ko-

zacki”, obrazek z ostatniego powstania ks. J. Pergesa.

Ale i przeszłość innych narodów, jak pobratymczych Słowaków i Czechów, a nawet Węgrów i Francuzów, znalazła wyraz w powieści historycznej. Na tym polu pracował Jan Kalinčák, dyrektor b. gimnazjum ewangelickiego w Cieszynie. Oryginalną jest jego powieść „Restauracja”, obraz z życia węgierskiego niedalekich czasów (Gw., 1861), dwie inne, mianowicie „Serbianka”, powieść naddunajska (Gw., 1862) i „Bratowa ręka”, powieść słowacka z r. 1846 (Gw., 1864) są tłumaczeniem z czasopisma słowackiego „Oról Tatráński”.

Z dziejów czeskich zaczerpnięta jest powieść „Sąd w Czeskim Brodzie” P. Chochołuška, przełożona przez E. B. (Gw., 1866). Sceny z życia węgierskiego kreśli „Jarmark wśród zimy” J. Eötvössa, tłumaczony przez Wł. M. (Gw., 1874).

Gdy pod koniec siódmego dziesiątka lat minionego wieku na pierwszy plan w Europie wysunęła się Francja, to nawet w skromnej Gwiazdce nie pozostało to bez echa. Świadczy o tym „Przywłaszczyciel”, powieść ludowa podług źródeł francuskich E. z K. P. (Gw., 1869) i „Widmo, czyli przygoda w zamku Brin le Dac”, obrazek z niemiecko-francuskiej wojny tego samego autora (Gw., 1871). W tej ostatniej powieści w niesłychanie kłopotliwym położeniu znaleźli się oficerowie Polacy, którzy służąc przymusowo w zaborczej armii pruskiej, występują w roli okupantów tak drogiej i sympatycznej sercu każdego Polaka ziemi francuskiej. Ale twarda i nieubłagana konieczność zmusza ich do tego.

Najbogatszy wszakże jest dział powieści współczesnych i obyczajowych. Autorstwo tychże w znacznej części nie jest podane, alho tylko zaznaczone literami początkowymi. Najstarszą z nich jest „Maryśka” (Gw., 1854), kreśląca wzruszający obraz doli dziewczyny wiejskiej z okolicy nadbużańskiej w Lubelskiem. Ogólną tendencją wszystkich

jest wykorzenieć wady, którym najczęściej lud polski ulega, i zalecić cnoty obywatelskie jako jedyną ostoję, od której jedynie szczęśliwa jego przyszłość zależy.

Tak np. w szóstym dziesiątku lat rozpoczęło się gwałtowne wychodźstwo w pogoni za szczęściem za morze, do Ameryki. Ażeby zwrócić uwagę ludu naszego na ujemne strony opuszczania kraju rodzinnego, napisał Józef Chociszewski dla ludu śląskiego i młodzieży powieść „Ameryka, czyli wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej” (Gw., 1865). Pokrewną myśl zawierają „Wychodźcy”, obrazek z Wielkopolski przez Fr. Szt. (Gw., 1873). Cele społeczno-wychowawcze mają na oku powieści jak: „Zemsta”, powieść dla ludu, nap. Konstanty Wojciechowski (Gw., 1866), „Zarozumiałość ukarana”, powieść dla ludu, nap. E. z K. P. (Gw., 1867), „Pycha matką grzechów”, opowiadanie prawdziwego zdarzenia, nap. dla ludu Paweł Sas (Gw., 1872), wreszcie Wandy Leśniowskiej „Kogo Bóg zasmuci, to go i pocieszy”, powieść ludowa (Gw., 1873). Są jeszcze i inne drobniejsze, jak: „W miasteczku” przez L. I., „Spekulant”, przez K. W. (Gw., 1864), „Pustelnik” przez G. z K. (Gw., 1871), „Wojtuś piaskarz” przez W. S., „Straszny rok” przez Fr. Sz. (Gw., 1873) i inne.

Ale ponad wszystkimi górują „Przekłète skrzypki”, opowiadanie prawdziwe przez Wł. L. Anczyca (Gw., 1875). Bohaterem tego opowiadania jest wiejski grajek ze wsi Cholerzyna w Krakowskim, który podczas wojny austriacko-włoskiej w r. 1859 wśród dziwnych okoliczności wchodzi w posiadanie skrzypiec cygańskich w kraju Słoweńców, pod Lublaną, wirtuozowską grą na tych skrzypkach wprawia wszystkich w podziw, ale po powrocie w strony rodzinne w tragiczny sposób rzuca się w objęcia śmierci, bo jego ojciec, bogaty i ambitny chłop, nie chce się zgodzić, by poślubił złą i urodziwą, ale przy tym biedną dziewczynę.

O ile nie wiadomo, wśród jakich okoliczności mogła się pojawić w Gwiazdce „Sie-

rotka” Konstantego Gaszyńskiego, o tyle w tym wypadku nie ma już żadnych wątpliwości. Anczyca znał bowiem dobrze Stalmacha, gdyż dnia 22 sierpnia 1869 r. na „zabawie narodowej” w Sibicy osobiście wręczył mu wystosowany do niego adres m. Krakowa, a w parę lat później (1873) dwudziesto-pięcioletni jubileusz pracy dziennikarskiej Stalmacha odbił się głośnym echem w całej Polsce.

W późniejszych czasach, przez długi szereg lat zaopatrywał Gwiazdkę w powieści ludowe wymieniony wyżej ks. Perges.

Obok powieści dosyć wcześnie pojawiają się w Gwiazdce krotkowile i obrazki sceniczne. Do nich należą utwory E. Świerkiewicza i K. Miarki. Pierwszy napisał w narzeczu śląskim „Polok w Śląsku, lebo dwa wachtorze w jednej dziedzinie”, obrazek sielski w 3 częściach (Gw., 1856), drugi „Kulturę”, zdarzenie prawdziwe z życia górnośląskiego w 2 odsłonach (Gw., 1864) i „Sąsiedzi na granicy”, obrazek ludowy śląski (Gw., 1868). Co do uzdolnienia dramatycznego, to przyznać trzeba, że w wyższym niewątpliwie stopniu posiadał je Świerkiewicz, chociaż działalność na polu literackim stała u niego tylko pod znakiem amatorstwa, dowodzi jednak niepospolitych zdolności i w tym kierunku. Akcja jego sztuczki jest żywa, dialog zręcznie prowadzony, momenty dramatyczne należycie wyzyskane. Nie bez zalet są też sztuczki Miarki, nadające się szczególnie dla scen ludowych.

„Nie wierz pozorom”, obrazek dramatyczny w 2 odsłonach przez A. B. odznacza się pięknym, poprawnym językiem (Gw., 1856). To samo można powiedzieć o obrazku wiejskim w 2 częściach pt. „Ekonom pod pantoflem”, napisanym przez J. K. T. (Gw., 1859).

Do urozmaicenia treści „Gwiazdki” przyczyniły się także wielce opisy krajów, części świata i listy z podróży. Tu na pierwszym miejscu wymienić należy „Listy z okrętu „Nowara” podczas podróży naoko-

ło świata" (Gw., 1858 i 1859). Autorem ich był młody cieszyński Wacław Lehman, służący wówczas jako podoficer marynarki wojennej na tym okręcie. Ciekawe te listy najprawdopodobniej w oryginale pisane były w języku niemieckim, a przez Stalmacha dopiero na język polski tłumaczone, bo trudno przypuścić, ażeby w tych czasach wobec zupełnego braku szkół polskich rodowity cieszyński mógł pisać poprawnie po polsku.

„Wspomnienia z pielgrzymki do Ziemi Świętej" (Gw., 1860) napisał F. Gondek, a K. Miarka zaznajamia czytelników „Gwiazdki" z prawdziwym obliczem pruskich Ślązaków i Wielkopolan w rozprawkach pt. „Pruski Ślązak i Wielkopolanin", fragmenty z podróży do Gniezna (Gw., 1866).

Ale nawet tematy ściśle naukowe znalazły uwzględnienie. Już w „Tygodniku" (1851) napotykaemy rozprawki „O człowieku" i stosunkowo długi traktat pedagogiczny „O dobrym wychowaniu dzieci". Obok licznych pomniejszych do większych rozpraw treści historycznej należy „Sprawa polska do r. 1863" (Gw., 1863) i „Przed stu laty, rozrost Prus" (Gw., 1866).

Temat ściśle przyrodniczy porusza obszerna rozprawa „O aklimatyzacji zwierząt i roślin" Oskara Żlika (Gw., 1864). Jest to tłumaczenie rozprawy niemieckiej z programu gimnazjum ewangelickiego tego samego roku.

Między rokiem 1875—1878 cały szereg popularnych a przy tym niekiedy obszernych rozpraw naukowych dostarczył ks. I. Świeży, profesor religii najpierw katolickiego, a potem połączonego gimnazjum w Cieszynie. Cechuje je nadzwyczaj jasny wykład, tak że nawet prostaczek bez jakichkolwiek trudności może je zrozumieć. Są to rozprawy: „Wykład ciepła" (1875), „O pochodzeniu człowieka" (1876) i „O długim wieku ludzkim w pierwszych czasach rodu ludzkiego" (1878). Nie bez znaczenia są także „Wieczorki humorystyczno-naukowe" Janka spod Głodomanka z r. 1877 (ks. J. Pergesa).

Oprócz powiastek, opisów ludów i rozprawek różnej treści ważną rolę w Gwiazdce od samego początku odgrywały życiorysy wybitnych ludzi. Ciekawym jest, że wśród nich znaleźli się także liczni austriaccy generałowie i mężowie stanu; tu trzeba zaznaczyć, że władze niemieckie niechętnym okiem patrzyły na rozwój pisma, wobec czego Stalmach widział się zmuszonym od czasu do czasu udawać austriackiego patriotę i dobrze na tym wychodził.

Długi szereg znakomych ludzi w dziejach narodu polskiego otwiera niewygasłej pamięci naczelnik narodu Tadeusz Kościuszko (Tyg. Ciesz., 1851), później, zwłaszcza od r. 1860 jest ich coraz więcej i tak: Ks. P. Skarga, Skrzynecki, Sam. Bogumił Linde, Karol Marcinkowski, Kazimierz Brodziński (1862), Józef Korzeniowski, Marian Langiewicz (1863), Generał Bosak, Mieczysław Romanowski, Teofil Lenartowicz, Stefan Czarniecki (1864), Karol Libelt, Stanisław Moniuszko (1866), Franciszek Smolka (1868), hr. Adam Potocki (1872), hr. Andrzej Zamojski (1874), Seweryn Goszczyński, Aleksander Fredro (1876), J. I. Kraszewski (1877), Pius IX, hr. Aleksander Wielopolski i generał L. Mierosławski (1878). Ale także wielcy mężowie innych narodów są uwzględniani, jak car Piotr Wielki, Napoleon, Pałacký i inni.

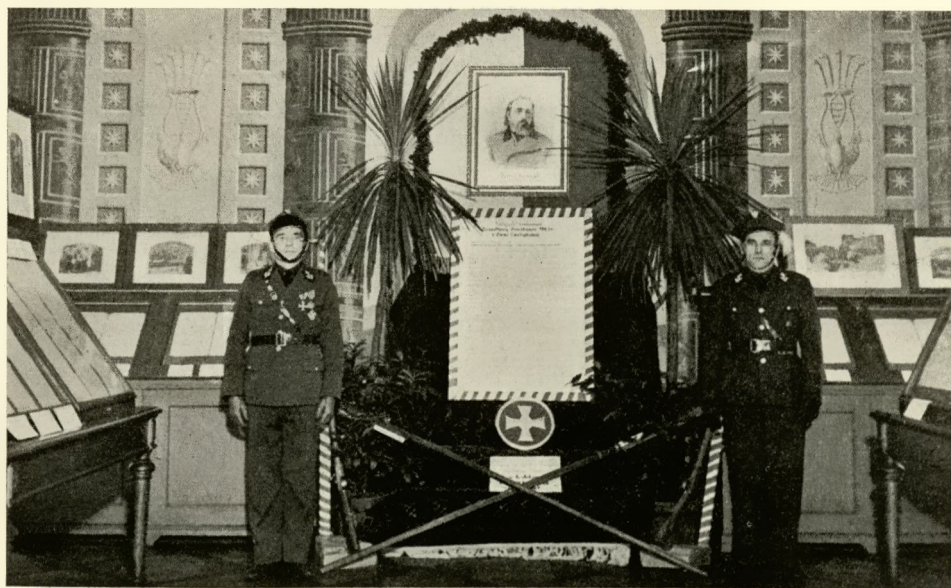
Najmniejszą rolę ze zrozumiałych przyczyn w felietonach pierwszych pism polskich w Cieszyńskim odgrywać musiała poezja. Sam Stalmach porwał się na dłuższy poemat opisowy w „Tygodniku" z r. 1850 pt. „Bój na Dobropolu" czyli opisanie wojny książąt śląskich z Tatarami w r. 1241. Ale chyba sam musiał uznać, że daleko mu do zdolności poety epika. Wiersz jest niesłychanie ciężki, rymy wymuszone i nieraz banalne; widać z tego, z jakim wysiłkiem pisał wiersz za wierszem. Źródło prawdziwej poezji musi wypływać z natchnienia i wrodzonych zdolności, a tam, gdzie tego nie ma, trudno mówić o poezji. Stąd też Bój na Dobropolu ja-

ko utwór poetycki jest chybiony; same dobre chęci kierowanego szlachetną ambicją autora wystarczyć tu nie mogły.

W późniejszych rocznikach „Gwiazdki” znachodzimy jeszcze dłuższe opowiadania i wiersze Bronisława Zamorskiego i dłuższy wiersz K. Wincentego Krainńskiego (Gw., 1860) pt. „Ślężacy”, ale wszystko to nie przekracza granic przeciętności i miernoty. Tkacz i poeta jabłonkowski Adam Sikora napisał wiersze: „Krakowiak dla ochotników naszych” i „Do ułanów” (Gw., 1866) jak na domorosłego poetę może nawet niezłe, tylko że dyktował mu je nie polski, tylko austriacki patriotyzm, czemu wobec braku uświadamienia narodowego, które by ogarniało szersze koła, dziwić się nie można.

Najważniejszym zadaniem obydwu czasopism było od samego początku uświadamianie ludu pod względem narodowym i poli-

tycznym. I ten wzgląd wysuwał się zawsze na plan pierwszy. Czytelnicy i „Tygodnika Cieszyńskiego” i „Gwiazdki Cieszyńskiej” rekrutowali się w przeważającej części z Śląska Pruskiego i Galicji zachodniej, a w mniejszej części z Księstwa Cieszyńskiego. Było zatem trzeba szukać takiej drogi, ażeby zadosyć uczynić zainteresowaniom jednych i drugich. I tu były nieraz poważne trudności, które Stalmachowi udało się jednak szczęśliwie ominąć. W felietonie literackim umieszczał powiastki ludowe, historyczne i obyczajowe, listy z podróży, rozprawki naukowe i życiorysy wybitnych ludzi, wskutek czego był on urozmaicony i ogólnie się podobał, czego dowodem wzrastająca stale z roku na rok liczba odbiorców jego pisma. Felieton na poważną miarę literacką wzorem innych pism, przeznaczonych dla inteligencji, nigdy tego celu nie byłby osiągnął.



Wystawa pamiątek z powstania styczniowego w Cieszynie

Fragment z wystawy w Muzeum Miejskim, przedstawiający wartość honorową przy portrecie Pawła Stalmacha oraz przy tablicy, zawierającej spis uczestników powstania z ziemi cieszyńskiej (zob. str. 63).

Jednej z najlepszych matek

Matce pisarza

*Po kamienistej drodze, raniącej Twoje stopy
dźwigałaś brzemię życia
bez łez...*

*Two ręce utrudzone zmieniały krwawy mozół
w pachnący bochen chleba,
w kwitnące maki — lica
Twych dzieci...*

*Za Tobą szła gromadka,
by sycić głód z Twych rąk najlepszych — i z Twego
Serca...*

*Oto Matka —
przez „Wyrąbany chodnik” idąca
bez łez...*

*Aż przyszedł kres.
— Na błękit oczu Twych pobladłych od starości
padł Anioł Śmierci...*

*W stężytych dłoniach — nie chleb pachnący
słońcem trzymasz już — lecz
Krzyż —
I z warg zastygłych w kamiennym śnie
nie spłynie szepł pacierzy — o szczęście
dla dzieci
płaczących u Twych stóp. —*

*Odeszłaś cicho — jak westchnienie
jak miłość z czystych najczystsza
bez skaz
bez żalu
bez narzekań — cień swoich dzieci
Miłość sama.*

*Za męstwo, poświęcenie, za rany i za blizny
Są złote krzyże — pomniki...
Matko! —*

*— — dla bohaterów...
Dla Ciebie, Matko — tylko życia kres.
Pomnikiem jesteś sama
Matko Karlikowa
„Po kamienistej drodze” idąca
bez łez...*

Bunt rudowłosych aniołów

Zawiesił lampę nisko nad stołem. Światło jak obrus nakryło stół, zawalony mosiężnymi, złotymi kółeczkami. Szmatok grzebał w tym z rozkoszą. Dobierał trzęsącymi się palcami kółeczek, przymierzał do starego budzika, kręcił głową, sznupał czerwonym nosem i znowu przebierał palczyskami w rumowisku na stole. Budzik w jego dłoniach dygotał od ciągłej szarpaczki. Potem bez powodu, tak sobie, rozdzwonił się w rękach starego. Dźwięki szturmowały do Szmataka jak szczebiot dziecka. Głaskał blaszane dzwoneczki i podtykał pod ucho, słuchał, słuchał i mrugał pergaminowymi powiekami. A potem znowu sznupał hałaśliwie, zaparty w żółte wnętrze zegara.

— A mógłbyś to przestać, aże przestać stary — wyrwało go z czujnego zasłuchania w nieśmiało tykanie.

Już, już miał coś odpowiedzieć, ale połknął skwapliwie całe zdanie. Co tam gadać. Babski rozum... A dowadzić się nie dowadzi. Stanął od stołu i podciągnął galoty. Odechciało mu się zegara. Czuł się tak samo jak

dziecko schwyte na szklódmieniu w spiżarni. Pokuldykał do blachy i długim papierem zapalił fajkę.

Nieśmiało zerknął w stronę baby. Siedziała przy łóżku i rozciągała pończochę robioną na drutach. Rachowała coś w pamięci, potem przebierała prędziutko, prawie bezszelestnie wargami. Wyglądała z tym wszystkim niegroźnie.

Odważył się przemówić:

— Dyc ci to może być jedno ta cało moja robota...

— Ty wiesz, że mnie to nerwuje. Jeszcze teraz mi w uszach dzwoni. A po drugie tyś już jest dość stary i mógłbyś przestać być mądrzejszy.

Z babą się nie dowadzi. Szkoda gadać. A Szmatok znał swoją Karolę doskonale. Ho, ho, toć to sotór nie baba. Teraz jeszcze była spokojna, jeszcze nie otuliła warg jednej na drugiej. Ale niechby tylko jeszcze jej coś odgadnął, to wtedy poderwie ją na krzesło i zacznie frąkać słowami jak kamieniami. Na to jest Karolą. Splunął w ogień ze złości,

która poczęła mu kołować w sercu. Brała się za bary z beznamiętnością i z chęcią rezygnacji (w które zaplótł się cały mechanizm jego duszy). Szmatlok nie był do swady, nie był do chaji. Jak czuł, że oczy czernieją ze złości, zabierał się spokojnie z kuchni, spokojnie otwierał drzwi, spokojnie je zamykał i wychodził na dwór. Dopiero tutaj na mroźnym wieczorze spluwał wysoko w powietrze i nabierał w stare zapadłe piersi wiatru. Wiatr wypłaszal zeń złość jak starą, obmierzlą kwokę.

— Jenó bydziesz kopcił tą smrodławą presówkę a spluwał i chorkoł. Nie znoś ani trocha charakteru.

Poderwało go.

— Jo ci padom, Karola, że co za dużo, to za dużo. Że jo też jeszcze coś znać.

Szmatlok zrobił się czerwony na gębie i fajkę pokazywał na siebie:

— Jo jest chłop a ty... tyś jenó baba.

Naciepła zadkiem jak ukluta szpilką. Wpatrzyła się w niego oczyma bazyliszka. A on jakoś nabrał odwagi i nie opuścił podniesionej głowy. Pierwszy raz się tak stawiał. Zmiarkowała się też od razu, że teraz tak łatwo nie postawi na swoim.

Opuściła na ziemię pończochę i zaczęła głośno ślimać.

— Tóż tak ty chacharze. Tela lot żyjemy do kupy a teraz byś chcioł na mnie powstawać. Na starość.

Szmatlok pykał sobie po cichu fajkę. Był zadowolony ze zwycięstwa. Ale pomału, pomału zaczynał się o babę niepokoić. Ślimać coraz mocniej, coraz hałaśliwiej. Rozmyślał, rozmyślał, ale w końcu przyszedł do wniosku, że nie warto myśleć.

Teraz już śmiało podszedł do stołu. Szczerzyły do niego żółte zęby kółka różnego kalibru, śmiały się doń całą gębą białe cyferblaty. Kopanie w zegarkach było jego jedyną uciechą. Przed kilku laty jeszcze nie miał na to czasu. Pracował na kopalni. Ale potem uległ katastrofie, złamał nogę i posłali

go na emeryturę, z której trudno wyżyć. A chociaż mógł jeszcze pracować, gdzieś na powierzchni, stróżować gdzieś przy bramie i zarabiać lepiej. Ale uparli się i koniec. I tak został w domu. Nie szło mu na zdrowie to wysiadywanie nad stołem. Czuł to sam. W piersiach dusiła go dychawica, krzyże twardniały jak pręty żelazne.

Pokuldykał do kąta izby. Stała tam stara skrzynia, pełna różnorakich kłamorów. Omijał ją przezornie z daleka. Nie chciał jej włożyć pod ręce. Ze skrzyni wyciągnął mały, na pół zruściały zegarek. Co dzień wyciągał z przepaścistego dna skrzyni inny. Miał ich tam pełno; kolekcjonował wszystkie popsute i bezużyteczne już zegarki.

Dziwny był ten zegarek. Otwierał się na dwie strony i na obu miał cyferblat. Po tej i po tej stronie miał po dwa anioły. Z długimi, rozwianymi skrzydłami, które były większe od całych postaci. Było to wszystko misternie rzeźbione w niklu. Artysta dał aniołom wyraźne, piękne twarze i wielkie potężne fryzury. Zegarek od lat narastał rdzą i dlatego włosy aniołów były czerwone, jaskrawo czerwone.

Stary z błogostajnym uśmiechem na twarzy zaczął grabać w zegarku. Dotychczas nie naprawił jeszcze ani jednego. Zresztą nie o to mu chodziło. Grunt, że „naprawiał”, że mógł swobodnie popychać maleńkie kółeczka i puszczać w ruch bzyżące sprężyny.

Dokładał do zegarka kółko do kółka. Pasował. Przecierał.

Naraz aż się zatrząsł ze zdziwienia. Jedno maleńkie kółko znalazło się jak u siebie. Począł zegarkiem nieśmiało potrząsać. Po-dotknął pod ucho.

Coś... coś...

Zegarek zaczął lekko podrygiwać, podrygiwać, zacharczał i stanął. Szmatlok gorączkowo chwycił szmatkę z benzyną i zaczął wycierać wnętrze. Seplenie zegarka uderzyło mu do głowy jak mocna gorzalka.

Zegarek szedł. Szedł równo, miarowo, pięknie. Szmatlok wykrzywił się w uśmiechu.

Wziął zegarek na rękę i podszedł, wpatrzony weń nabożnie, do Karoli.

— Widzisz, Karola, idzie...

Karola nie patrzyła na niego. Miała ochotę pluć w jego drżącą dłoń i wyrzucić zegarek łukowato pod sufit. Zatrzęsała się w sobie od złości jak od zimna, ale milczała.

Szmatlok teraz dopiero połapał się, że się przecież przed chwilą z Karolą powadził. Oglądnął się nerwowo za siebie i zawrócił niezdarnie ku stołowi.

W kuchni układał się do snu wieczór. Zawalił cieniście wszystkie kąty izby. Wiało od tych kątów chłodem i pustką. A przecież tam do ścian przytulił się wieczór, ten wieczór, który tak rozkoszną gorączką bywa dla młodych. Tylko tam, gdzie starość ma swoje prawa, wieczory są puste i nie ma ich czym zapełnić. Wspomnienia stają się na starość coraz nieuchwytniejsze i trudno je sprowadzać wieczorami do izby.

Szmatlok położył zegarek na stole. Czuł ten odpływ życia, jaki w izbie dokonywał się wieczorami. Ale i jego ramionom już nie nagiąć horyzontów jak grusz i nie otrząsać ich z owoców dalekich radości. Starość nie radość.

Do drzwi ktoś zapukał. Poderwali się oboje. Tak rzadko przychodzili ludzie. Tak rzadko ludzie zdawali sobie sprawę z ich istnienia.

Wszedł chłopak. W rękę trzymał list.

Oboje wyciągnęli poń wrzaskliwe palce. Chłopiec oddał list Szmatłokowi. Do listu na dodatek zaszemrał:

— Z kopalni. Brat, kiery pracuje w biurze, przyniósł.

— Aha — mruknął Szmatlok. Wpatrzony łapczywie w list nie zauważył nawet twarzy synka. Zauważyła natomiast Karola. Nie mogła nie przemówić. Ciężko jej było trwać w milczeniu. Nie mogła sobie odmówić.

— A jak się mają starka? Zdrowi? Żyją?

Synek z niechęcią słuchał. Ręce wydzierają się do klamki.

— Toć, toć. Żyją, są zdrowi, dobrze śpią, dobrze jedzą, nic nie muszą robić...

Potem porwał się do drzwi i uciekł.

Szmatlok czytał list. Karola kołowała naokoło zaciekawiona niezmiernie. Szmatlok czytał powoli, oddychał przy tym ciężko. Potem skończył nagle z potężnym chrząknięciem i zakuczał się ogromnie. List schował do galot.

Karola nie mogła wytrzymać.

— A cóż tam piszą?

— A nic — odburknął.

Nie pozmiatał tego wieczora ze stołu żelastwa do skrzyni. Zostawił to tak na noc. Zostawił na stole szumiący zegarek z rudowłosymi aniołami.

Nad ranem nakręcił zegarek machinalnie, tak jakby to czynił codziennie. Pokaszływał od samego rana. Dychawica podchodziła do samego gardła jak pług i przeorywała je z dołu do góry. Trząsał się przy tym cały. Kolyśało nim gwałtownie jak drzewem na wietrze.

Ubrał się w niedzielne ubranie. Nie mówił nic. Daremnie obskakiwała koło niego Karola, oczekująca jednego przynajmniej słowa. A on nic. Zaciął się i koniec.

A jednak miał ważną rzecz na głowie. Po co o tym babie gadać? To była jego starość i baba mu na to nic nie pomoże. We wczorajszym liście było o eksmisji. Do trzech dni.

Przyjęto go na kopalni z honorami, jakie należą się siwiejącej głowie. Ale gadać z nim nawet nie chcieli. Musi opróżnić mieszkanie i koniec.

— Toż tak — rozżłościł się — a czemuście mnie zwolnili? Przeciech się rwał do roboty. Noga złamana, ale ręce zdrowe. Gdzieś na bramie byłaby ze mnie przecież jakaś pociecha. Stykło by mieszkanie zapłacić. A tak za te piętnaście złotych pendzyje to trzeba żyć gorzej od psa.

Nie pomogło. W biurze byli młodziki, których porywający się z motyką na słońce Szmatlok bawił. Uśmiechali się pod nosem.

Dojrzał to Szmatlok. I od razu zrozumiał, że nic tu nie wskóra. Zapadł się w sobie jak postrzelony zwierz i wymamrał:

— A dokąd pójdziemy z babą?

Odpowiedź mieli przygotowaną:

— Macie przecież dzieci.

— Aha — mruknął, bo i cóż miał więcej powiedzieć.

Dowlókl się do domu przygnębiony. Po drodze wymyślił, że jeszcze dziś trzeba będzie pójść do córki. Trzeba będzie zięcia uprosić, może odstąpi jakiś kącik.

Karoli nie było w domu. Usiadł na stołku. Nie miał ochoty rozbierać się. Postanowił pójść do córki zaraz, aby przed wieczorem obrócić z powrotem. Córka mieszka w sąsiedniej wsi.

W izbie było zimno jak w piwnicy. Pod blachą nie paliło się od rana. Przeszło nad nim ciężko jednaście uderzeń zegara. Myślał o wielu rzeczach naraz jak człowiek, który wybiera się w daleką, ciężką podróż. Szumiały mu w głowie burzliwe wiersze pracującej kopalni, szturmujące do okien. Objął dyniastą głowę w obie ręce i trząsł nią miarowo. Ale nic nie dokazał. Głowa jest twarda i mocna. Nie tak łatwo wytrząść z niej troski, które zadomowiają się śmiało i gospodarsko jak pluskwy.

Potem nagle zerwał się, wziął kostur i pokułykał do drzwi. W drzwiach upewnił się jeszcze, czy ma zegarek. Był. Szedł równiutko, wesoło, pięknie. Naokoło, beztrąsko. Piękny zegarek. Rudowłose anioły chychotały lekko skrzydłami. Niewidzialny wiatr rozdymał im suknie. W zegarku narastała nowa treść, nowe zdarzenie. Wystukiwał miarowo drogę nowej, wielkiej godzinie. Szmatłokowi wydawało się, że anioły były coraz bardziej niespokojne, że coraz mocniej wiatr rozdymał im suknie.

Droga wypadła mu przez hałdy. Leżał na nich gęsty, gruby śnieg. Sypał się nań proch, rozpadający się z wysokich kominów na świat.

Szmatloka dusiło w piersiach coraz mocniej. Krzywda, jakiej doznała na kopalni jego emerycko-górnicza duma, wyrabiała mu w głowie jak gorzałka. Wiatr podrzucał mu pod nogi kłody śnieżne. A on wspinał się hałdą coraz ciszej, coraz słabiej. Hałdą, która ciągnęła się przez pola jak pustynia.

Za nim ktoś pędził. Ktoś na niego wołał. Odwrócił się.

— Karola!...

Grzęzła w śniegu po kolana, spódnice uniosła wysoko pod piersi. Szła jego ciężkim, człapiącym śladem.

— A kaj to idziesz?

— Do cery.

Chwilę oboje milczeli. Wiatr nagle wylał z jakiejś zapadliny i zakręcił się im przed oczyma jak pogłupialek.

— Bo jo była na kopalni — zaszemrała Karola. — Pedzieli mi, jak z nami stoi.

— Aha.

Chwycił go kaszel. Gniótł mu piersi jak potężny głaz. Wydobył się spod niego nagłym wstrząsem i splunął krwią.

Szła zadyszana obok niego. Chciała coś powiedzieć. Nie mogła się odważyć.

A jemu coraz trudniej było oddychać. Chwytał powietrze łapczywie, całymi ustami wciągał je w siebie z śniegiem, który topniał rozkosznie w palącym gardle.

— A cóż se tak pogwizdujesz? — napadła nań zdziwiona.

— A dyć mi to tak w piersiach gwizdże — odparł niemniej zdziwiony.

A potem położył się na śniegu.

Nakryła go spódnica i szlochem. Drapała mu zapadłe piersi. Natknęła się na zegarek. Stanął. W tej chwili. Spojrzała nań po raz pierwszy z wdzięcznością. Zrozumiała, że zbuntowały się rudowłose anioły za niego, zapadłego na dno słabości. Za całą ich krzywdę, niepojętą krzywdę.

Z siedziby Karola Miarki

Dokończenie

Karol Miarka, syn, urodził się dnia 11 czerwca 1856 roku, podobnie jak jego ojciec, w Pielgrzymowicach. Po ukończeniu nauki szkolnej w Cieszynie i praktyce w drukarni ojca, zwiedził Pragę czeską, Lipsk, zakład Braci Benziger w Einsiedeln w Szwajcarii i inne. Szczególne zainteresowanie budziły w nim wydawnictwa dzieł religijnych. Zdobyte wiadomości były później podwaliną w jego zakresie wydawniczym. Po powrocie w strony rodzinne, a właściwie po nabyciu wydawnictwa „Katolika” od wdowy po śp. Karolu Miarce przez ks. lic. Radziejewskiego i przeniesieniu go do Królewskiej Huty (Chorzów), powstał w Mikołowie zakład wydawniczy Karola Miarki, syna. Było to około roku 1880. Karol Miarka, ojciec, zmarł w Cieszynie dnia 15 sierpnia 1882 roku. Szczątki jego spoczywały na katolickim cmentarzu parafialnym w Cieszynie, w małym oddaleniu od grobu starego przyjaciela Pawła Stalmacha. Dnia 24 października 1937 roku przeniesiono uroczystie ich prochy do Grobów dla Zasłużonych na cmentarzu komunalnym w Cieszynie.

W roku 1886 Karol Miarka, syn, zaślubił Franciszkę, córkę Emila Nuchtena, ówczesnego burmistrza miasta Mikołowa. Małżeństwo pozostało bezdzielne. Młoda Karolowa Miarkowa była gorliwą katoliczką, ale po polsku nie rozmawiała. Polacy w ich domu nie przebywali. W końcu Miarkę okrzyczano jako Niemca. Twierdzono powszechnie a nawet publicznie, że własne dzieci wychował w duchu niemieckim. Tymczasem w rodzinie Miarków nie przebywały nawet obce dzieci.

Po ojcu Karol Miarka, syn, nie odziedziczył nic, prócz imienia i nazwiska. Ale wła-

śnie te dwa skarby niejednokrotnie torowały mu drogę przy niejednych ważniejszych poczynaniach. Niewtajemniczeni jego samego uważali za niezapomnianego społecznika śląskiego. Druga żona Karola Miarki, ojca, pochodziła z Cieszyna i niezawodnie dlatego, a niemniej w celu uchronienia się przed sądami pruskimi jeszcze za życia zamieszkał autor „Górki Klemensowej” na Śląsku Cieszyńskim.

Karol Miarka, syn, miał niepospolity zmysł wydawniczy. Z biegiem czasu zakłady mikołowskie znał cały świat polski. Gdy w kwietniu 1890 roku obejmowałem w Mikołowie obowiązki, przygotowywano u Miarki do druku czwarty zeszyt pierwszego wydania „Żywotów Świętych Pańskich”, opracowanego podług ks. Ojca Bitschnau’a, profesora kapitulnego klasztoru świętego Benedykta w Einsiedeln. Do roku 1910 dzieło to doczekało się pięciu pomnażanych i poprawianych wydań. Między tymi było także wydanie „Żywotów Świętych Pańskich”, opracowanych przez X. Józefa Stagraczyńskiego według X. Piotra Skargi T. J. Wydawnictwo to nie znalazło jednak dostatecznego poparcia wśród ludu czytającego i dlatego przystąpiono do opracowania obszernego wydania szóstego. Początek „Żywotów” ks. O. Bitschnau’a tłumaczył Fr. X. Tuczyński, którego następcą był Ludwik Gayzler.

Wydawnictwo dzieł ludowych Karola Miarki było w tych latach jeszcze bardzo ubogie. Nie było nawet tak zasobne, jak Juliusza Nowackiego. Posiadało naówczas następujące nakłady:

Chrześcijański paszport (pamiętka pierwszej Komunii św. dla młodzieńców). o.60 mk.
1882 — 1888.

- Chrześcijańskie niezapominajki (pamiątka pierwszej Komunii św. dla panien). Cena 0.60 mk. 1882 — 1888.
- Cześć Maryi na każdy czas, osobliwie w miesiącu maju. Książeczka pouczająca i modlitewna dla czcicieli Najśw. Maryi Panny. Ozdobiona 64 drzeworytami. Format 11 × 16,5 cm, str. 472. Cena od 0.80 — 1.20 mk. 1889.
- Czternaście świętych Obrońców w potrzebie. Książeczka pouczająca i modlitewna, zawierająca życiorys i nabożeństwo do 14 św. Przyrzeczyców we wszelkich dolegliwościach. Cena 0.30 mk. 1882 — 1888.
- Godzinki do Najśl. Serca Jezusowego. Cena 0.30 mk. 1882—1888.
- Kalendarz Maryański — istniejący od roku 1884, a po sześciu latach rozchodzący się już w 45.000 egzpl. Pierwszy nakład bito w 10.000 egzpl.
- Jeden z ówczesnych krytyków pisał: „Choć kalendarz nie cieszy się nadzwyczajnym uposażeniem ani dobrym językiem, a nawet tytuł jest błędny, należy go jednak polecać, bo regularnie zawiera bardzo treściwie dobrany materiał, z dobrą korzyścią wpływający na swoich czytelników“.
- Książeczka bierzmowania (w polskim i niemieckim języku) obejmuje 24 str. druku w okładce trwałej. Cena 0.10 mk. 1882—1888.
- Książeczka o dobrej śmierci, napomnienia, rady i modlitwy odpustowe, ozdobione ślicznym kolorowym obrazkiem, przedstawiającym śmierć św. Józefa. Cena 0.25 mk. 1882—1888.
- Książeczka do nabożeństwa do Najśw. Panny Maryi Nieustającej Pomocy. Cena 1.75—2.50 mk. 1882—1888.
- Litania do Najśłod. Serca Jezusowego. Cena 0.03 mk. 1882—1888.
- Módlcie się bez ustanku. Zbiór modlitw odpustowych ze skarbu Kościoła katolickiego dla użytku codziennego. Cena 0.25 mk. 1882—1888.
- Od piorunów i gwałtownej niepogody zachowaj nas Panie. Nauka, środki i modlitwy podczas nawałnicy. Cena 0.40 mk. 1882—1888.
- Pamiątka Jubileuszowa Ojca św. Leona XIII, zawierająca życiorys Ojca św., nowennę i modlitwy odpustowe z obrazem kolorowym Ojca św. Cena 0.15 mk. 1882—1888.
- Passye, czyli męka Pana naszego Jezusa Chrystusa (do użytku w palmową niedzielę). Cena 0.20 mk. 1882—1888.
- 15 Tajemnic Różańca św. dla wszystkich (dla panien biały, dla młodzieńców zielony, dla mężatek czerwony, dla mężczyzn niebieski kolor) w okładce zawierającej: „Naukę i przestrogi dla członków bractw różańcowych“. Cena 0.20 mk. 1882—1888.
- Prawdziwe wyobrażenie Przenajśw. Oblicza Pana naszego Jezusa Chrystusa. Cena 0.15 mk. 1882—1888.
- Przegląd najgłówniejszych obietnic Zbawiciela naszego na korzyść czcicieli Jego przenajśw. Serca. Cena 0.15 mk. 1882—1888.
- Rachunek sumienia (dla pierwszy raz do Spowiedzi św. przystępujących). Cena 0.06 mk. 1882—1888.
- Różaniec święty. Książeczka pouczająca i modlitewna dla członków bractw różańcowych i wszystkich wiernych, w myśl Ojca św. Leona XIII. Str. 224. Cena 0.60—0.90 mk. 1882—1888.
- Tajemnice Różańca św. z ofiarowaniem czyli krótki i praktyczny sposób odmawiania Różańca św. żywego. Str. 96. Cena 0.25 mk. 1882—1888.
- Wolne Chwile — czasopismo ilustrowane dla ludu katolickiego, poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie. Nr 1—18 (od 1 I 1887 do 15 IX 1887). Następnie sprzedano prawo dalszego wydawania firmie „Księgarnia Katolicka“ w Poznaniu, ul. Wodna 25.
- Wpisy do bractw trzeźwości (w polskim i niemieckim języku). Cena 0.06 mk. 1882—1888.
- Wykaz przyjęcia do Najśl. Serca Pana Jezusa. Cena 0.05 mk. 1882—1888.
- Zdrowaś Marya. Pisemko miesięczne poświęcone czci Najśw. Panny Maryi. Pod redakcją ks. Lubeckiego. 1886—1891.
- Żywot Bogarodzicy Najśw. Maryi Panny i Jej Oblubieńca św. Józefa, opracowane podług Ojca Benedykty na ks. Beat. Rohnera. 1888.
- Z niemieckich wydawnictw przez szereg lat drukowano gazetkę „Oberschlesische

Rundschau". Z gazetką był ściśle połączony magazyn formularzy urzędowych. Trwało to mniej więcej do roku 1908. W tym czasie chcąc w zakładzie zatrzeć ślady niemieczyny, Karol Miarka sprzedał prawo wydawnictwa oddziału niemieckiego wraz z urządzeniem swemu długoletniemu kierownikowi technicznemu. Był nim Jan Małek.

Z wszystkich wydawnictw najpoczytniejsze były „Żywoty Świętych Pańskich”, nie pomijając „Kalendarza Maryańskiego”. Na „Kalendarzu Maryańskim” wydawnictwo niejako opierało swoją egzystencję. Zyski stąd płynące obracano na zakup nowych koniecznych maszyn drukarskich i na urzeczywistnienie dalszego programu wydawniczego.

Od roku 1890 pojawiały się następujące dzieła i czasopisma:

Żywot Świętych Pańskich podług najlepszych źródeł, wyjętych z dzieł Ojców i Doktorów Kościoła św., opracowane podług ks. Ojca Bitschnau'a, Profesora kapitularnego klasztoru św. Benedykta w Einsiedeln. Format 21 × 27 cm, str. 1192. 1891.

Missyonarz Katolicki, czasopismo ilustrowane dla ludu katolickiego poświęcone sprawom misyjnym i nawróceniu ludów pogańskich oraz wiadomościom kościelnym i socyalnym z całego świata. Wyszły trzy roczniki (1891—1893). Redaktorem był ks. Jan Chrzyszcz, proboszcz w Pyskowicach łącznie z Ludwikiem Gayzlerem. Gayzler nie zdołał pojąć celu, w jakim czasopismo zostało założone. Zwolna przeistaczał dwutygodnik na pismo polityczne z przestarzałymi wiadomościami, a tym samym przyspieszył jego upadek. Początkowy nakład przekraczał 9.000 egzpl. „Missyonarz” wychodził w formacie 21 × 28 cm.

Nauka wiary i obyczajów Kościoła katolickiego, wyłożona obszernie, stwierdzona i objaśniona miejscami z Pisma św. i Ojców Kościoła. Format 21 × 28 cm. 1893.

Historia Biblijna dla rodzin chrześcijańskich czyli proste a gruntowne objaśnienie Dziejów Starego i Nowego Testamentu. Opracował

ks. Proboszcz Józef Stagraczyński. Format 19 × 26 cm. 1894.

Życie św. Alojzego Gonzagi T. J. według najdawniejszej biografii O. Wirgilego Cepari T. J., format 16 × 23 cm. 1891.

Przyjaciel Rodziny, ilustrowany tygodnik dla ludu, poświęcony nauce, rozrywce i zabawie (od 10 XII 1894 do 25 XII 1896). Redagował Dyonizy Kowalski, a po nim Antoni Stefański.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa Tomasa a Kempisa w tłumaczeniu ks. A. Jełowickiego. Przejrzał i według oryginału poprawił ks. dr W. Galant. Format 25 × 30 cm. 1897.

Żywot i bolesna męka Pana naszego Jezusa Chrystusa i Najśw. Matki Jego Maryi według widzeń świątobliwej Anny Katarzyny Emmerich. Z zapisków Klemensa Brentano przełożył na język polski ks. Prof. dr. Wojciech Galant. Format 22 × 28½ cm. 1899.

Ks. Leonarda Goffiniego książka do oświecenia i zbudowania duszy chrześcijańsko-katolickiej czyli krótki wykład Lekcyi i Ewangelii na wszystkie niedziele i święta. Format 12½ × 18½ cm. 1893.

Następnie „Ofiara Mszy św.” (1907), „Prawidła życia chrześcijańskiego” (1911), „Dom Serca Jezusowego” (1905), Katolicki Katechizm Ludowy” (1906) przez ks. Prof. Spirago, „Metodyka katolickiej nauki religii”, „Szczegółowe rozwinięte Katechezy” (1909), „Chleb Duchowny” (1902), „Droga do poznania Boga” (1905), „Legends o Zbawicielu świata” (1911), „Nowa Biblioteka Pisarzy Polskich” (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński i Kondratowicz) 1898—1908, „Album Królów Polskich” 1910 itd.

W roku 1904 wyszła nakładem Karola Miarki „Mapa Górnego Śląska z uwzględnieniem stosunków językowych, granic powiatowych i kolei żelaznych”. Opracował ją ks. Józef Gregor, proboszcz z Tworkowa.

W ten sposób 1 października 1911 roku wydawnictwo obejmowało przeszło 250 tomów, jak katalog z tego czasu wykazuje. Co to za ogrom wobec nikłej ćwierć setki, na

którą dumnie spoglądano w dniu 1 kwietnia 1890 roku.

W czasopiśmie „Wolne Chwile” wydrukował Karol Miarka, syn, dwie powieści swego ojca: 1) *Złóbek*, powieść z niedawnego czasu. 2) *Żywcem zamurowana*, powieść górnośląska, podług starej kroniki i opowiadania mojej babuni osnuta. — Wdowa po Karolu Miarce, ojcu, wytoczyła wskutek tego proces o odszkodowanie. Po dłuższych targach nastąpiła około roku 1891 ugoda, na mocy której Karol Miarka, syn, zyskał prawo przedruku wszystkich prac ojca za miesięcznym wynagrodzeniem, wypłacanym regularnie wdowie po przedwcześnie zgastym obrońcy polskości na Górnym Śląsku. Po takim załatwieniu sprawy około roku 1891 przystąpiono do przedruku powieści Karola Miarki, ojca. Ludność polska na Górnym Śląsku chętnie czytała opowiadania swego dawnego opiekuna, toteż nakłady corocznie się powtarzały. Późniejsze zamiary wydania całkowitego zbioru pism Karola Miarki, ojca, z odpowiednimi ilustracjami, upadły wskutek zamiany wydawnictwa na Spółkę.

Kolejności wydania poszczególnych powieści Miarki dzisiaj już nie pamiętam, stwierdzić również tego nie można, bo w pierwszych latach istnienia mikołowskiego wydawnictwa nie podawano roku wydrukowania książki. Podaję więc poniżej alfabetycznie tytuły tych broszur, które od roku 1891 do 31 XII 1910 nakładem wydawnictwa dzieł ludowych ponownie opuściły prasę, przejrane i poprawione:

- Błogosławieństwo matki, dramat z życia społecznego w 3 aktach.
- Dzwonek św. Jadwigi, obrazek z życia społecznego w 3 aktach.
- Górka Klemensowa, powieść odnosząca się do zaprowadzenia chrześcijaństwa na Śląsku, oparta na podaniach ludu górnośląskiego.
- Husyci na Górnym Śląsku, opowiadanie z XV wieku podług kroniki i ustnego podania ludu.
- Mosiek spekulant, komedycja w 2 aktach.
- Odpuść nam, powieść historyczna z czasów wojny francusko-niemieckiej (1870—1871).

Petronela, pustelnica z góry św. Anny, opowiadanie historyczne.

Sądy Boże, powieść z życia górników górnośląskich z czasów 30-letniej wojny.

Złóbek — Uczciwość nagrodzona, dwie powiastki. Żywcem zamurowana, powieść górnośląska podług dawnej kroniki.

„Kulturnik” albo też Filip Stykała był już za moich czasów wyczerpany. „Żuawi”, „Rewolucja kobiet” i „Stawka” naówczas nie doczekały się nowego wydania. Publikację swoich prac Karol Miarka, ojciec, rozpoczął „Górką Klemensową” około roku 1863. Po niej następowały dalsze do roku 1880.

Okolo roku 1892 zainstalowano w zakładzie własny prąd elektryczny. Do zapędu koniecznej dynam maszyny posługiwano się motorem gazowym. Miejsowa gazownia nie była jednak o tyle udoskonalona, aby motorowi dostarczyć odpowiedniego natłoku do wykonywania potrzebnych obrotów celem otrzymania koniecznej ilości energii. Była stąd męka straszna. Maszyny drukarskie często w biegu stawały, a światło zaledwie migotało. Niedomagań tych nie potrafiono usunąć.

W r. 1894 wydawnictwo Karola Miarki nie zdołało już urządzenia technicznego pomieścić w dotychczasowych ramach. Chcąc wydawać tygodnik „Przyjaciół Rodziny”, musiano wdzierżawić lokale w domach sąsiednich, nasamprzód u emer. zawiadowcy kopalni węgla, Schultzika, a następnie w domu przeciwnym, którego właścicielką była wdowa po st. sztygarze Richterze. Od niej zakupiono również teren przeciwny ówczesnego domostwa przy ulicy Karola Miarki (dawniej Friedenstrasse).

Ponowne wewnętrzne przebudówki zajmowanego dotychczas terenu stale okazywały się niewystarczającymi. Gdy wreszcie zabrakło miejsca na ustawienie najpotrzebniejszych maszyn, Karol Miarka zdecydował się na wystawienie odpowiedniego budynku na parceli świeżo zakupionej. Na zabudowania fabryczne przeznaczono 2600 m kw., resztę na park i ogród warzywny.

W nowych zakładach przewidziano zapęd parowy z odpowiednią maszyną dynamiczną. Równocześnie zakupiono nowe maszyny drukarskie i introligatorskie, maszynę do stawiania czcionek Linotype, jako pierwszą do odlewania wierszy o polskim brzmieniu. Do tego czasu istniały tylko maszyny z klawiaturą angielską i niemiecką. Koniecznej zmiany dokonał na życzenie firmy „Mergenthaler Setzmaschinenfabrik” w Berlinie. Odtąd do dzisiaj fabryka posługuje się tą samą klawiaturą.

Z wiosną roku 1896 nastąpiły przenosiny do nowego gmachu, a z nimi nowe kłopoty dla wydawcy. Zabrakło funduszu obrotowego. Karol Miarka pomagał sobie w ten sposób, że przez szereg lat nie wypłacał personelowi regularnie poborów. A był tu zwyczaj, że pobory wypłacano tygodniowo i to wszystkim bez wyjątku.

Na Śląsku dawniej austriackim, w Cieszynie, żył księgarz-wydawca Edward Feitzinger, Niemiec. Z nim Karola Miarkę łączyły stosunki towarzyskie i wydawnicze. Feitzinger liczne własne wydawnictwa drukował w mikołowskich zakładach graficznych. Niektóre broszury wydawali wspólnie, lecz z odmiennymi tytułami. Podobnie załatwiano wydawanie „Kalendarza Katolickiego” i „Przyjaciela Rodziny”. W całym szeregu tomików wydawnictwa Feitzingera nie podano autora, gdyż były to przeważnie samowolne przedruki. Nawiązane były również stosunki z wydawnictwem „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra” w Cieszynie.

W roku 1909 przystąpił Karol Miarka do wydawania Pisma św. Starego i Nowego Testamentu w przekładzie polskim X. Jakuba Wujka T. J., z tekstem łacińskim Wulgaty. Stało się to za poradą Duchowieństwa, a szczególnie ks. dr Teodora Kubiny, ówczesnego kapelana (wikarego) w Mikołowie. Było to zasługą ks. dr Kubiny, że poprawienia przekładu polskiego i opatrzenia nowym komentarzem podjął się kapłan-męczennik i znany egzegeta X. Franciszek Albin Symon, dawniejszy biskup-nominat płocki. Wskutek

niedopuszczenia do rusyfikacji Kościoła na Litwie został aresztowany w 1897 roku i zesłany do Odessy. Po czterech latach mógł wyjechać do Rzymu. Mianowany arcybiskupem atylijskim, osiadł jako proboszcz parafii kościoła Mariackiego w Krakowie. Poprzednio już bawił przejściowo w Katowicach, gdzie zacnego Dostojnika Kościelnego z wielką czcią przyjmowali polscy działacze miejscowi i okoliczni. Arcybiskup Symon w obecności Wojciecha Korfante go zwiedził także zakłady wydawnicze Karola Miarki w Mikołowie. Przy tej okazji omówiono możliwości wydawania Pisma świętego w nowym opracowaniu. Wstępne porozumienie nastąpiło. W przeciągu całego roku wyszły nawet coś trzy zeszyty Pięcioksiągu. Na tak długą lokatę kapitału, nie odrzucającego chwilowego zysku, zakład mikołowski nie był przygotowany. Nie pozwalał na to także brak funduszu obrotowego. Ponieważ same dobre chęci nie wystarczyły, przeto zaprzestano wydawania Pisma świętego w zakładzie Karola Miarki.

Czyniono wówczas starania, aby Karolowi Miarce pozyskać odznaczenie ze strony Stolicy Apostolskiej. Sprawą tą zainteresowano także Arcybiskupa Symona, o czym świadczy następujący list:

„Rzym, 28. XII. 09. Szanowny Panie! Przyznając Panu najzupełniejszą słuszość co do należnego Mu odznaczenia ze strony Stolicy Apostolskiej za tyle pracy i nakładówłożonych około wydawnictwa i szerzenia wśród ludu naszego dzieł o treści czysto katolickiej, i oświadczając się z gotowością pośredniczenia w tej sprawie, muszę jednocześnie po komunikować, że do rozpoczęcia jakichkolwiek starań w tym kierunku niezbędne jest polecenie formalne miejscowego Ordynariatu Wrocławskiego, z którym niestety ja nie mam żadnych stosunków i nikogo nie znam; owszem, wiem skądinąd, że przy dzisiejszych warunkach trudno byłoby znaleźć kogoś, kto by się podjął podobną sprawę przedłożyć Jego Eminencji Kardynałowi Koppowi. — Mam kilka świeżych przykładów, jak dalece posuwa Książę Kardynał skrupulatność swoją w kwestyach nawet czysto reli-

gijnych, kiedy się łączą one z polskością. — Wobec tego niepodobna dzisiaj coś zrobić — chyba, że się zmienia osoby i warunki, — i we Wrocławiu inaczej zapatrywać się będą na działalność katolicką — chociażby nawet Polaków! — Ciekawy jestem bardzo, jak rychło ujrzymy zeszyt drugi Pisma Świętego, o który ludziska dopytują się mnie ciągle. Świeżo J. E. Ks. Biskup łucko-żytomierski w liście pasterskim do swego duchowieństwa, zobowiązał każdego księdza, by miał u siebie to nowe wydanie. To już drugie takie urzędowe zalecenie jego. Pierwsze było J. E. Ks. Arcybiskupa Popiela. Łącząc wyrazy szczerego poważania, pozostaję oddanym Mu X. Fr. A. Symon, Abp.“

Ale Karol Miarka coraz więcej zapadał na zdrowiu. Zniechęcał się także do pracy, poprzednio szczerze umiłowanej. Przyczyna polegała w bezustannych troskach finansowych, które mu stargały nerwy, a niemniej nadwężyły zdrowie, już i tak mocno zagrożone. Chcąc swoje dzieło zachować dla przyszłych pokoleń, pragnął zakład wydawniczy zamienić na spółkę z ogr. por. Starania w tym kierunku czynił Antoni Stefański już w latach 1901—1903. Umiał nawet zainteresować zakładem ks. Ogińskiego i hr. Zamojskiego. Obaj przybyli powózką z Oświęcimia do Mikołowa. Pozostało jednak tylko na odwiedzinach.

Moje poczynania w roku 1910 szły w kierunku Ligi Pomocy Przemysłowej we Lwowie i innych instytucji. Nawiązałem także stosunki z ks. prałatem Piotrem Wawrzyniakiem. Rezultat był taki, że jako nabywcę wysunął Adama Napieralskiego. Fundusze ofiarował hr. Maciej Mielżyński. Z otrzymanych na ten cel 300.000 mk Adam Napieralski tylko połowę ulokował w wydawnictwie mikołowskim, gdy tymczasem reszta powędrowała na ratunek „Katolika” w Bytomiu. Wskutek wybudowania olbrzymiego gmachu fabrycznego łącznie z domem czynszowym „Katolik” finansowo mocno się zaangażował i potrzebował również pomocy. Było to w roku 1911.

Pierwszym warunkiem kupującego było żądanie ustąpienia dotychczasowego właściciela z przedsiębiorstwa, jako też całkowitego zaniechania czynnego udziału. Życzeniu stało się zadość, a główne kierownictwo objęła siostra Adama Napieralskiego — Bronisława, wspólnie z Felicją Szczerbińską. Ta ostatnia również udzieliła nowonabywcy poważniejszej pożyczki.

Skutki tak nieproduktywnie rozpoczętej gospodarki zbyt rychło uwydatniły się na niekorzyść wydawnictwa. Już w roku 1915 Felicja Szczerbińska skarżyła się przede mną, że poniosła znaczne straty, przeplatane licznymi troskami i kłopotami. Pisała o tym w liście kondolencyjnym, nadesłanym po tragicznym zgonie mojego syna Leona.

Za ewentualne przeprowadzenie albo spowodowanie utworzenia spółki z ogr. odp., zapewniał Karol Miarka oddanie mi 10.000 mk w postaci udziałów. Sam jednak ustępując, nie mógł oddawać udziałów osobom drugim. Lecz o gotówce także milczał. Tak samo Adam Napieralski nic o tym nie chciał wiedzieć. Wobec tego postawiłem kwestię jasno. Oświadczyłem, że nie wolno było Karolowi Miarcie sprzedawać poszczególnych wydawnictw bez mojego zezwolenia. Prace moje oddawałem jemu samemu, lecz nigdy jego następcy. Było to przyczyną, że przez dwa tygodnie wzajemnie unikaliśmy siebie. W tym czasie Karol Miarka zasięgał porad prawnych, nie pomijając rejenta Teodora Larischa w Mikołowie. Wreszcie poprosił mnie do siebie i oświadczył, że między nami powinna nastąpić zgoda. Równocześnie zaproponował pięć tysięcy marek, o ile zrzeknę się ewentualnych pretensji do wydawnictwa za dalsze nakłady. Byłem za dobroduszny i zbyt mało doświadczony, więc nastąpiła ugoda, taka, że prawo własności jest moje, wydawnictwu jednak trudności czynić nie będę z wyjątkiem rękopisów dostarczonych poza 1 I 1911. Prace moje mogłem sprzedawać innemu wydawnictwu lub wydawać kosztem własnym. Pięć tysięcy marek Karol Miarka wypłacił ratami, a ja mikołowskie wydawnictwo Ka-

rola Miarki dotychczas nie fatygowałem, chociaż „Zupełny Śpiewniczek Kieszonkowy”, książki do nabożeństwa „Dzieci Boże” i „Boże kocham Cię”, jako też kalendarze na rok 1912 nie są objęte ugodą zawartą z Karolem Miarką.

Po sprzedaniu domu mieszkalnego i załatwieniu spraw wiążących z Mikołowem, Karol Miarka nasamprzód osiadł w Wrocławiu. Już z Nowym Rokiem 1912 przeniósł się jednak do Raciborza, gdzie wspólnie założyliśmy Biuro Wydawnicze Karola Miarki. Tutaj pozostawałem do 1 kwietnia 1913 roku. Z tym dniem przejąłem na własność drukarnię i wydawnictwo „Gazeta Gdańska”. W Raciborzu przygotowałem do druku dzieło ks. Feliksa Reihera „Chleb Żywota” i szereg tłumaczeń powiastek Krzysztofa Szmidta.

Jakie były moje poczynania późniejsze, opisałem w wspomnieniach „Polski Gdańsk w czasie przełomowym — od 1 IV 1913.” Po moim wyjeździe z Raciborza Karol Miarka, syn, na krótki czas przeniósł się znowu do Mikołowa do własnej willi, specjalnie wybudowanej. Pobyt na starych śmieciach potrafił Miarce do tego stopnia uprzykrzyć, że ponownie zamienił miejsce stałego pobytu na Racibórz, gdzie podczas wojny światowej zakończył żywot żmudny, ale bardzo owocny. Pozostała po nim wdowa, która nie potrafiła światu polskiemu donieść o zgonie wielkiego i zasłużonego wydawcy. To też zwłoki jego złożono do grobu na cmentarzu parafialnym w Raciborzu na Górnym Śląsku, bez jakiegokolwiek znamiennejszej uroczystości.

Że Karolowi Miarce po śmierci należało się chociażby najdrobniejsze uczczenie, przemawia najdosadniej poniżej przytoczony rozmiar nakładów i urządzeń technicznych do roku 1911, czyli do chwili, kiedy i ja opuściłem wydawnictwo mikołowskie:

- 1) Cztery kalendarze książkowe. Razem bito 240.000 egz., a kalendarza kartkowego 50.000 egz.
- 2) Książek do nabożeństwa o 32 różnych treściach rocznie rozsyłano 100.000 egz.

- 3) Większe dzieła: a) Żywoty Świętych Pańskich rocznie 5.000 egz.; b) Ofiara Mszy świętej rocznie 4.000 egz.; c) Historia Biblijna i inne rocznie mniej więcej 14.000 egz.
- 4) Liczne podręczniki dla katechetów.
- 5) Nowa Biblioteka Pisarzy Polskich doczekała się po kilka wydań.
- 6) Książki i broszury treści religijnej obejmujące 43 tytuły w 74 tomach rozchodziły się rocznie w 30.000 egz.
- 7) Książki i broszury treści historycznej, naukowej, śpiewniki itp. objęte w 78 tytułach a 83 tomach rozchodziły się rocznie w 47.000 egz.

Techniczne uposażenie instytutu wydawniczego Karola Miarki prezentowało się następująco: 1) Składnia czcionek z trzema amerykańskimi maszynami do stawiania czcionek, systemu Mergenthalera (Linotype), wartości zakupnej 50.000 mk., kalandrem do odbitek korekturowych i mniej więcej 100 centnarami różnego gatunku pisma, z obfitym materiałem ornamentacyjnym itp. 2) Drukarnia łącznie z chromotypografią o dwu wielkich maszynach pospiesznych na podwójne formaty, 3 maszynach średnich, 1 małej maszyny pospiesznej, 2 wielkich i 2 średnich maszynach tygielkowych i 1 maszynie do przyrządzania ilustracji barwnych. 3) Stereotypia i urządzenia galwaniczne z 7 maszynami i licznymi przyborami, jako też maszyną do odlewania czcionek drukarskich. 4) Urządzenie chemigraficzne. 5) Introligatornia z 30 maszynami podręcznymi. 6) Zapas kliszy wynoszących mniej więcej 10.000 rycin, autotypii, cynkotypii itp. 7) Maszyna parowa o sile 50 koni, maszyna dynamiczna o 400 amperach, akumulatory i mniej więcej 18 motorów elektrycznych. 8) Centralne ogrzewanie. 9) Własny wodociąg.

Personel techniczny, administracyjny, kuchnie i literacki rekrutował się mniej więcej z 90 osób, spośród których wymienić należy: art.-mal. Stanisława Ligonja, Alfonsa Wycisła, Henryka Wieczorkiewicza, Konstantego Mikołaszka, Artura Wardzichowskiego, Roberta Wycisła i innych.

Mieszkańcy miasta Mikołowa z drobnymi wyjątkami, byli mało narodowo uświadomieni. Przeważnie posługiwali się polską gwarą górnośląską o wielu naleciałościach niemieckich. Politycznie lgnęli do obozu centrowego. W głównej mierze przyczyniała się do tego miejscowa inteligencja, do której oprócz sędziego, adwokata i lekarza, zaliczali się także nauczyciele szkoły powszechnej. Nazwiska ich: Fiering, Antoni Machura, Karl Schwarzer i inni, a nawet organista parafialny Wiktor Lockay. Razem z niemieckim odłamek duchowieństwa byli oni głównymi pionierami i prowodyrami partii centrowo-niemieckiej. We wszystkich poczynaniach zawsze kryli się pod ochronny płaszcz katolicyzmu.

Wśród obywatelstwa zaliczającego się do stanu średniego, był wodzirem księgarz Juliusz Nowacki. Z nim łączył się kupiec Józef Nieradzki, mistrz blacharski Wojciech Paczynski, restaurator Ludwik Jankowski, mistrz krawiecki Franciszek Kropka, mistrz piekarski (imię?) Czichopad i jeszcze kilku innych. Karol Miarka, syn, w tym czasie wcale się nie udzielał.

Karola Miarkę, syna, łączyły stosunki przyjazne z eksjezuitą ks. Stanisławem Stojalowskim, od roku 1875 wydawcą pisemek ludowych „Wieniec”, „Pszczółka”, „Piast”, jako też licznych książeczek dla ludu. Przyjaźń nie ustała nawet wtenczas, gdy Ojciec św. Leon XIII na ks. Stanisława Stojalowskiego rzucił klątwę za nieposłuszeństwo władzy duchownej. Wówczas Karol Miarka skrycie drukował jego „Listy otwarte”, których treści dzisiaj nie pamiętam. Ks. Stanisław Stojalowski wskutek swoich zasług jako społecznik, mimo klątwy kościelnej zachował bardzo wielu zwolenników. Później ks. Stojalowski ukorzył się i przysięgł w Rzymie posłuszeństwo Stolicy Apostolskiej i władzom kościelnym. Ostatni raz spotkałem się z ks. Stojalowskim w drodze z Krakowa w pociągu, a następnie w Mikołowie. Mieszkał kilka dni w hoteliku przy Rynku, znanym pod nazwą „Domin's Hotel”.

Proboszczem mikołowskim w roku 1890 był ks. (Alojzy?) Schnapka. Jako kapelani (wikariusze) urzędowali ks. ks. Paweł Dworski i Henryk Weltike. W końcu wymieniony był bardzo sympatycznym i sprawiedliwym Niemcem. Umarł przedwcześnie jako proboszcz w Jastrzębiu, w powiecie rybnickim.

Ks. Paweł Dworski mimo ślicznie brzmiącego polskiego nazwiska był także Niemcem, bardzo słabo mówiącym po polsku. Następcą ks. proboszcza Schnapki został ks. dziekan Schumann, poprzednio proboszcz w Bieruniu. Po nim uzyskał prezentę na mikołowskie probostwo ks. Dworski, wymieniony poprzednio jako miejscowy kapelan. Podczas pierwotnego urzędowania w Mikołowie zaskarbił sobie liczne względy miejscowych parafian niemieckich, którzy obecnie mu drogę utorowali. Duszpasterzem parafii mikołowskiej pozostawał do ukończenia wojny. Polscy parafianie nie mieli w nim upodobania, bo skoro nastały rządy polskie, ks. Pawła Dworskiego zniewolono do rezygnacji, a nawet do opuszczenia Mikołowa.

Od roku 1870 Górnoślązacy przywykli wybierać centrowców na posłów do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego. Było to dzieło Karola Miarki, ojca, naówczas uważane za wielką zdobycz narodową. Poprzednio górnośląska ludność polska głosowała na korzyść niemieckich kandydatów liberalnych. Stosunki zmieniły się dopiero po roku 1900 pod wpływem Wojciecha Korfanteo, Adama Napieralskiego, Jana Kowalczyka i innych. W tym czasie przy wyborach uzupełniających do parlamentu niemieckiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim, komitet centrowy postawił kandydaturę barona Huenego. Polakom nie był sympatyczny i dlatego urządzili secesję pod kierownictwem bytomskiego „Katolika”, a właściwie Adama Napieralskiego. Równocześnie wysunięto kandydaturę adwokata (?) Radwańskiego z Pszczyzny. Sukces był nadzwyczajny. Adwokat Radwański otrzymał mniej więcej 13.800 głosów.

Niemcy struchleli, a niemniej mikołowscy za-
kapturzeni Polacy.

Polską listę zwalczał między innymi także ówczesny kapelan a późniejszy administrator parafii mikołowskiej ks. Józef Grund, chociaż rodzice jego mówili tylko po polsku. Na wiecu, zwołanym do sali Wilhelma Bartona, nie pominął nawet zarzutu, że Polacy zabili św. Stanisława. Ale słowa jego nie odniosły pożądanego skutku, czego dowiodła sroga porażka obozu centrowego. Gdy Polska uzyskała niepodległość, ks. Józef Grund znalazł się także w obozie narodowym. Zmienne są czasy i zmienne zapatrywania ludzkie.

Podczas walki wyborczej o adwokata Radwańskiego oddał Mikołów 25 proc. głosów polskich. Cichą lecz systematyczną miejscową agitację przedwyborczą przeprowadził Antoni Stefański wspólnie z Stanisławem Dybickim, przy pomocy przeważnego personelu, zatrudnionego w zakładzie wydawniczym Karola Miarki.

Gdy jednak innym razem, przy wyborach do sejmu pruskiego Polacy w pszczyńsko-rybnickim powiecie nie zdołali przeprowadzić swego kandydata, natenczas Juliusz Nowacki, wydawca polskich książek do nabożeństwa i powiastkowych, bardzo słabo władający językiem niemieckim, nie mógł opanować nieuzasadnionej radości. W otoczeniu swoich popieczników zebrał kilku wędrownych muzykantów, znanych pod nazwą „bejmaki” i na rynku mikołowskim polecił wygrywać patriotyczne niemieckie melodie. Na zakończenie posłano muzykantów przed domostwo inwalidy i właściciela realności (?) Bednarka, gdzie urządzono podobny koncert niemiecki.

Najwięcej zaciętym centrowcem i niejako duszą podobnych awantur był kupiec Hugo Blasel.

Mimo wszystko agitacja na rzecz narodową nie ustawała. Już w r. 1907 zdobyli Górnoślązacy pięć nowych polskich krzeseł poselskich. Rok 1912 spowodował co prawda nieznaczny porażkę, przypisywaną ubytkowi głosów polskich. Wina polegała jednak na zmia-

nie frontu Wojciecha Korfantego, który w tym właśnie czasie przeszedł do obozu „Katolika”.

Gminą protestancką w Mikołowie opiekował się pastor (?) Lemon, spowinowacony z ks. Arcybiskupem Florianem Stablewskim. Byli siostrzeńcami. Jurysdykcja mikołowskiego zboru sięgała aż pod samą Pszczynę, gdzie okoliczne wioski zamieszkiwało wielu ewangelików, mówiących po polsku.

Pastor (?) Lemon władał językiem polskim nieskazitelnym. Swego czasu omawiał z Karolem Miarką, synem, opracowanie w duchu ewangelickim i wydanie podręcznika: „Ks. Leonarda Goffinego książka do oświecenia i zbudowania duszy chrześcijańsko-katolickiej czyli krótki wykład Lekcji i Ewangelii na wszystkie niedziele i święta”. Pozostało jednak na rozmowach wstępnych. Stwierdzono bowiem, że wydanie podobnego opracowania nakładem Karola Miarki nie odpowiadałoby szczerze katolickiemu charakterowi książek mikołowskich.

Do narodowo uświadomionych Polaków zaliczano w Mikołowie aptekarza Wojciecha Rybickiego, inwalidę i właściciela realności(?) Bednarka, a później jeszcze kupca Jana Kleemanna.

W najbliższej okolicy jako wybitniejszych zaliczano do tego samego obozu chałupników Jana Marnioka, ojca i Błażeja Wodnioka w Podlesiu; rodziny gospodarzy Ciałonia i Wycisły w Wyrach; rodziny Hujów w wiosce Wilkowy pod Tychami i innych. Jeden z synów rodziny Hujów przyjął nazwisko Pilchowski. Podobno matka jego pochodziła z Pilczków. Pilchowski krótki czas mieszkał w Mikołowie. Po zmarłym kupcu Bernatzkim przejął handel towarów kolonialnych i wyszynk piwa.

Aptekarza Wojciecha Rybickiego należy uważać za duchowego twórcę promenady wiodącej z ulicy Karola Miarki (dawniej Friedenstrasse) do miejsca wycieczkowego Wymysławka (dawniej Charlottenthal). Jemu zawdzięczają mikołowianie także dalszy rozwój promenady. Ale za jego przyczyną założono także „Verschönerungsverein” (Tow. Przyjaciół Mikołowa), „Verein selbständiger Kaufleute” (Towarzystwo Kupców Samodzielnych) i nie-

miecki „Bank Kupiectwa” w domu wdowy po starszym sztygarze Richterze, położonym przy ulicy Karola Miarki (Friedenstrasse).

Ludność zamieszkująca wioski okoliczne w przeciwieństwie do mieszczan była owiana duchem narodowym. Mimo nacisku ze strony władzy pruskiej, pielęgnowała język ojczysty. W szczególności odznaczały się gminy: Kostuchna, Łaziska Dolne i Średnie, Mokre, Piotrowice, Podlesie, Wilkowy i Tychy. Do tych wiosek na przemian biegliśmy każdą niedzielę i święto, aby kilka godzin przepędzić między swoimi. Zabawialiśmy się pogawędką i wspólnym śpiewem piosenek ludowych. Do regularnych uczestników wycieczek w pierwszych latach mojego pobytu w Mikołowie należeli księgarz (?) Chaberski, krakowianin, zatrudniony w zakładzie Karola Miarki i zegarmistrz Czesław Ligęziński, zatrudniony u Józefa Antaszka, zgermanizowanego Wielkopolanina.

W roku 1891 sprowadziłem do drukarni jako składacza Wacława Śmiekowskiego. Nowoprzybyły z nami się nie łączył. Rok później mogłem powitać jako współpracownika mojego szkolnego kolegę Dionizego Kowalskiego, który po niedługim czasie spowodował przybycie Stanisława Dybickiego. Gdy w roku 1895 Kowalski przeniósł się do bytomskiego Kościoła, a na jego miejsce dnia 15 czerwca tego samego roku przyszedł Antoni Stefański, było nas tylu, że stale myślano o założeniu polskiego Towarzystwa. Zakład wydawniczy Karola Miarki nabierał coraz większego rozmachu, a w miarę rozwoju przedsiębiorstwa mnożył się także personel techniczny, kupiecki i wydawniczy.

Zasiedzali mikołowianie łączyli się w trzech towarzystwach niemieckich: „Bractwie Kurkowym”, „Towarzystwie Czeladzi Katolickiej” (Kolpinga) i „Towarzystwie Gimnastycznym” (Turnverein). Ostatnie było nadzwyczaj hakatystyczne.

Członkowie „Bractwa Kurkowego” rekrutowali się z kupców, samodzielnych rzemieślników i kamieniczników. Towarzystwo czeladzi katolickiej pozostawało pod opieką katolickiego kapłana i szeregowało w swoich zastę-

pach przede wszystkim młodzież rzemieślniczą, ale należeli tam również rzemieślnicy samodzielni i po części kupcy.

Członkowie dwu ostatnich towarzystw, wśród których figurowały czysto polskie nazwiska: Danielski, Gałka, Jankowski, Kołodziej, Kropka, Lipiński, Niewolik, Pytlik, Taisra i szereg innych, w potocznej rozmowie na przemian używali języka polskiego i słabo niemieckiego. Język polski mocno przesiąknięty niemczyzną zawierał wiele naleciałości czeskich. Na przykład: galoty — spodnie, portki; kłobuk — kapelusz; kneflik — guzik; swaczyna — podwieczorek; i wiele, wiele innych. Gwara taka dała pochop do ujęcia w nią szereg niemieckich poematów Ludwika Uhlanda i Fryderyka Schillera. Język użyty w tych broszurach jest ścisłym odzwierciedleniem gwary rozpowszechnionej jeszcze około roku 1890 w miasteczkach górnośląskich. Szczególnie przodowały w używaniu tak zepsutego języka polskiego Żory lub Żary i Wodzisław w powiecie rybnickim. Gustaw Morcinek nazwał te książki rarytasami i białymi krukami, stanowiącymi łakome kąski dla językoznawców.

Najwięcej rozpowszechnioną była broszura A. Nachbara, rektora czyli nauczyciela: „Bojki”, zmyślił i übersetzwolł niejakiś A. Nachbar, rektor, a zawierały: a) Jabtykorz i hahor; b) „Hłop i banie”; c) Ten Kampf z tem drachem; d) „Ten Sänger od Göthego” i inne.

Nauczyciel Nachbar urzędował przy szkole powszechnej w Panewnikach pod Katowicami.

Drugim autorem tych nieszczęsnych dziwogłów był radca zdrowia dr Haase w Szczecinie. Ogółem znam jego następujące utwory:

- a) „Ten ślepy Król”, staroś ale pieknoł bojka od niejakiogoś Uhlanda freinie übersetzwanoł przez dr. Haase w Szczecinie. Cyna (Preis): 40 Pfennige.
- b) „Ten Kampf z tem Drachem”, bardzo pieknoł ale strasnie gruźliwoł bojka od Schillera tak na spas w popsutem języku übersetzwanoł przez dr. Haase w Szczecinie. Cyna (Preis): 40 Pfennige.

- c) „Ten Kranich Ibykusa“. Cyna (Preis): 20 Pfennige.
- d) „Ten pierścień tego Polykrata.“ Cyna (Preis): 40 Pfennige.
- e) „Ten Erlkönig.“ Szkaradnie straszna i okrutna bojka. Cyna (Preis): 30 Pfennige.
- f) „Skarzyciel przed sądem.“ Cyna (Preis): 20 Pfennige.
- g) „Tego Saengra fluch.“ Cyna (Preis): 30 Pfennige.
- h) „Ten Ritter Toggenburg.“ Cyna (Preis): 20 Pfennige.
- i) „Ten Gang na Żelazny Młotek.“ Cyna (Preis): 20 Pfennige.
- k) „Ten Bürgschaft.“ Cyna (Preis): 30 Pfennige.

Wszystkie broszury dra Haasego wyszły nakładem niemieckiego wydawnictwa G. Siwinna w Katowicach. Bojki A. Nachbara drukowano w Mikołowie u Karola Miarki. Zamawiającym był księgarz H. Mondro w Mikołowie. Własnej drukarni H. Mondro nie posiadał. W tym wypadku przejął firmowanie, gdyż Karol Miarka nie życzył sobie figurowania na wydawnictwie zniesławiającym język polski. Taką gwarą posługiwali się rodzice i dziadkowie przeważnych tych centrowców, którzy dzisiaj uważają się za rodowitych Niemców. Tymczasem przodkowie ich języka niemieckiego w ogóle nie znali.

Autor wbrew ogólnemu twierdzeniu nie był identycznym z swoim imiennikiem w Cieszynie, od roku 1876 dzierżącym przewodnictwo miejscowego zboru ewangelickiego, znanym namiętym polakożercą. Radca zdrowia dr Haase w Szczecinie był na ogół wielkim przyjacielem rymowania. Między innymi posiadał jego oryginalny rękopis z dnia 29 IX 1909, który dosłownie przytaczam:

Widzicie na drzewie
To jest Pan Bóg w niebie
Na krzyżu rospięty
Odkupiciel święty.
Na twarz upadajcie,
Chwałę mu oddajcie
Bo Jezus jedyny
Zmarł za wasze winy

Zmarł — nic nie zawinił
Żeby świat nie zginął!
Kłękaj na kolana,
Proś Jezusa Pana,
Żeby raz nie żądził,
Żeś mu tak wyżydził.

Dr. Haase.

Towarzystwo polskie dotychczas nie istniało w Mikołowie. Mówiono jednak, że za przyczynieniem się Karola Miarki, ojca, urządzano tutaj polskie przedstawienia amatorskie. Między innymi odegrano w sali Wilhelma Bartona „Błażka opętanego” Władysława Ludwika Anczyca. Jako amatorki występowały oprócz bliższej rodziny Karola Miarki także siostry Juliusza Nowackiego, oczywiście za czasów panińskich. Bliższych szczegółów nie zdołałem dociec.

Założenie Towarzystwa „Zgoda” poprzedzały schadzki w mieszkaniach kawalerskich. Mieściły się w domach Ignacego Witalińskiego, obywatela (?) Rocznika i Józefa Jankowskiego. Pierwsze dwa budynki znajdują się w sąsiedztwie nowego kościoła katolickiego. Po założeniu Towarzystwa posiedzenia odbywały się w lokalu Józefa Jankowskiego, dzierżawcy restauracji Jana Patermanna, przy ulicy Kościelnej. W skład pierwszego zarządu wszedł Antoni Stefański, jako prezes, Stanisław Dybicki, sekretarz i Jan Kwiatkowski, skarbnik. Jako członkowie przystąpili również aptekarz Wojciech Rybicki i Alfons Wycisło, kancelista sądu mikołowskiego. Brat jego Robert, uczył się drukarstwa w zakładzie Karola Miarki.

Gdy Józef Jankowski wydzierżawił zajazd przy ulicy Starokolejowej (Alte Bahnhofstrasse), Towarzystwo „Zgoda” również przeniosło swoje locum do nowego lokalu. Realność była własnością kupca Franciszka Nieradzika, brata Józefa, na którym ciążyło podejrzenie zagadkowej śmierci ucznia kupieckiego Wypukoła.

Trudne były zaczątki Towarzystwa „Zgoda” i trudny jego rozwój. Ale Antoni Stefański nie uległ. Jako prezes uczył śpiewu i miewał

wykłady. Za jego przykładem poszedł Stanisław Dybicki i inni. Lecz gdy jeden i drugi opuścił Mikołów, Towarzystwo zaczęło upadać. Śpiewu uczył teraz Alfons Wycisło. Chodził regularnie na lekcje, nosił skrzypce, męczył się i dręczył, lecz zespołu nie zdołał uratować. Niektórzy członkowie w obawie przed napaściami miejscowych hakatystów zaczęli unikać regularnych schadzek. W końcu Towarzystwo usnęło. Ale nie wskutek niezgody, jak twierdzili ludzie zgryźliwi.

Były to czasy, gdy smutnej pamięci „Ostmarkverein” nasał do Mikołowa płatnego obrońcę dla uratowania niesłusznie zwanej uciemiężonej niemczyzny. Mniemanym takim obrońcą został adwokat Schott. W dowód zasługi w krótkim czasie zyskał nawet notariat. Schott, przy pomocy pokrewnych sobie zawiadaków, napadał każdego mówiącego po polsku. Poturbowania doznali między innymi także dr May i Józef Pankowski. Stało się to w publicznym lokalu przy Rynku, dzisiaj znanym pod nazwą „Domu Polskiego”. Kres podobnym wybrykom położyła defraudacja, jakiej Schott dopuścił się w sprawach notariackich. Działalność swoją w Mikołowie zakończył więzieniem. Defraudant Schott liczył zaledwie 35 lat życia, gdy w roku 1913 sprzeniewierzył 15 do 20 tysięcy marek, jako zawiadowca masy konkursowej.

W roku 1908 powołano do życia nowe Towarzystwo śpiewacze, do dzisiaj istniejącą „Harmonię”. Było to wyłączną zasługą Alfonsa Wycisła. Pierwotny chór męski zamieniono później na chór mieszany. Zmiana okazała się konieczną dla pobudzenia większej żywotności Towarzystwa. Podobne kółka pozakładano w Podlesiu, Wyrach i innych wioskach okolicznych. Wszystkimi opiekował się Alfons Wycisło, dzisiaj starszy sekretarz ref. w Województwie Pomorskim.

Zaofiarowanej pierwszej prezesury „Harmonii” nie mogłem przyjąć, bo właśnie

w tym samym czasie byłem zawikłany w proces narzucony za artykuł w czasopiśmie „Rozdżina” o „Skazańcach z Rozdzienia”. Karol Miarka twierdził, że byłby to pretekst do wydania ostrzejszego wyroku. Widocznie obawiał się zbyt wysokich kosztów wywołanych ewentualną apelacją.

Podobnie jak w innych dzielnicach byłego zaboru pruskiego, istniało dla Śląska „Towarzystwo Pomocy Naukowej” z siedzibą w Wrocławiu. Członkowie dyrektorium Towarzystwa mieszkali w różnych miejscowościach Górnego Śląska. Skład ich w roku 1908 był następujący: ks. proboszcz Aleksander Skowroński, przewodniczący; Zygmunt Seyda, skarbnik; Kazimierz Czapla, sekretarz; dr Józef Rostek, zastępca przewodniczącego; ks. proboszcz Paweł Brandys; Bronisław Koraszewski; ks. proboszcz Władysław Robota.

Zygmunt Seyda był adwokatem w Katowicach. Za jego staraniem i przyczyną przejąłem na Mikołów zastępstwo skarbnika Towarzystwa Pomocy Naukowej. Nie należałem jednak do wydziału dyrekcyjnego. Składki zbierane przysyłałem na ręce Zygmunta Seydy do Katowic. Była to robota cicha, pełna wewnętrznego zadowolenia.

Od roku 1908 do 1918 był Zygmunt Seyda posłem do Sejmu pruskiego. Agitację przedwyborczą w Mikołowie i okolicy przeprowadził ówczesny kapelan parafii mikołowskiej, ks. dr Teodor Kubina, obecnie biskup diecezji częstochowskiej. Było to w roku 1908. Za przyczyną ks. dr. Teodora Kubiny i Zygmunta Seydy urządzono wiece w Mikołowie, Piotrowicach i więcej. Zygmunt Seyda został posłem, a ks. dr Teodor Kubina otrzymał w przeciągu trzech tygodni odwołanie z Mikołowa.

Okres ostatnich lat mego pobytu w Mikołowie nie zostawił w mej pamięci wybitniejszych momentów, które by poruszyć należało.

Wesele górali ištebniańskich

Akt II. Snymby czyli przedślubna umowa

(Ta sama co poprzednio izba wójta, Hanka siedzi sama i robiąc pończochę na drutach śpiewa):

1. *W zielonym lesie — w gynstej krzewinie
Było słyhać narzykani smutne troskliwe.*
2. *Jo se myślała, że idzie ku mnie...
Alie un je może pyszny — wstydzi sie za mnie.*
3. *Pierwej tu chodził, mie sie nie wstydził,
Ojcowie mu isto bróniom, bom ja chudobna.*
4. *Choć jo chudobna, chociaż nic nimóm,
Szak mie Pón Bóg nie opuści, w nim jo ufność móm!*

Mówi:

Boże! mój Boże, co jo dziśka przeżyjym, dziśka je sztwortek, a dy sieł uod nas spobaby, stawil sie do mamy i padol im, izie dziszka przidzie tu na synmyby. Teras nimasz żodnego dóma, bo fojtowie poszli do Uonejboczi na gościny dy tam dziszka stryk szwiniym zabijajom, tósz teras sie mi to mijo, alie co bedzie jak przidóm jesi go nie uokryncóm, dy Zuska sie azie trzyjsie na wydoj. Joch ani myślonku nimiała nigda uo wydaju, alie takigo chłopu bych se ziczila mieć jako Janko. Nalech głupio wiyecie, synmyby a tu ani nie pomyte, wszyndy dycki warzóm i goszczóm synmbników, a tu wor co chesz dy nic nimosz. Dyc fojtowie nienejgorszi, jyny Zuska beje robicz breweryjym. Wiyecze wóło Bożo niech sie robi co chce, co mo bycz to beje. Dyckich czuła uod taczika iże szmiercz a żona uod Boga przeznaczóna, a jisto to beje prawda, tósz niech sze usz tam robi co chce (*wygląda oknem*), nic nie widno żodnego, weznym chutnie uostry kartacz i aspoń kapkym pomyjym zakiyl nieprzidóm (*szoruje ławy kartaczem*).

(*Wchodzą fojtowie i Zuska, fojt w guni przepasany, baby w chackach.*)

Zuska (*ostro*):

Na ty fyrtole, cosz fyrtolisz, dycz sie fsobotym myje a nie dziszka.

Hanka:

Na miałach chwilkym uoto...

Zuska:

...Miałach chwilkym, — a krowóm nie dane, ftejizbie usz downo odbywajóm, niechej to a usz pakuj do chlywa.
(*Hanka wychodzi*)

Fojtka:

Zuska! nie musisz tak jeźdnicz po Hance, dycz sie doszcz urobi.

- Fojt: Zuska nasza strasznie móndro, ale jak jyny sama beje to sie potym dziepro uobezdrze.
- Zuska: Na cóżbych tak sama była?...
- Fojt: A jakby tak Hanka uodeszła? lebo jak sie wydosz!
- Zuska: Hanka nie póndzie, bo nimo kany a jak sie wydóm, to bedzie chłop robił.
- Fojt: Nie kajždy chłop tam tak tańcuje jako mu baba pisko, toch tam jo jyny taki miynkawy i tószej ludzie rzondzóm, iżej fajt w spodnicy a fajtka w gaczach.
- Fajtka: Nie wyrzecz zisz stary, dycz czy szetam żodno krziwda nie robi, przeca wdycki jak placek upiekym to tebie ze Zuskóm dom jedyn pół a siebie se jyny ledwa drugóm półkym zostawim.
- Fojt: Nój, je to taki: z babóm jest źle, ale bez baby to jeszcze gorzej.
(*Za sceną pies szczeka, słyszeć kroki. Wchodzi Tomek opsyłka*)
- Fajt: Tómekej! Basamterómtete Toomekej!! kajsz sziedzisz cały Bożej dziyń?!
- Tomek: Byłech rano u dochtorza, potym my chytali tchorza i chnetkichmy go zdybali i skurkym szniego przedali.
- Fajtka: A potym?...
- Tomek: Za płotym pot karczmóm my szedli, po tfańószku zjedli, po piwie wypili i ani my szetnie bili.
- Zuska: Jisto tam wiyncel szetaj szarule tutło, bo czy szet rzecz sypie jako zmiecha.
- Tomek: A tysz Zuska jako strzecha, użesz kapkym uostrzano, a jeszcze żesz nie wydano.
- Zuska: Ale sie wydóm!
- Tomek: Prowie teras na szczywku w karczmie broł Jurek z Wyrobisk dwa półlitry gorzółki, to jisto kajsi na snyby, dy dziszka sztfortek.
- Zuska: Jurek... gorzółkym — yhm. — Kany un tesz pudzie?
- Fajtka: Ale dycz sie dowiesz, przeca po cichu tak tego nie zrobi, bedóm w niedzielim wołacz fkoszcziele.

Fojt: Jurek tam nie pudzie na snymby, ale un tam jisto dło kogosi inszigo może broł gorzołkym.

Tomek: Szak, tak! rżóndził cosi uo Jankowi Gróniowym.

Zuska: Tómek! (*grozi mu palcem*) ty fszecko wiysz, mie sie tak zdo.

Tomek: Co jo wiym, to sie aji ty dowiysz.

Zuska: Mamo, mie sie zdo, iżie tu przidóm.

Fojtką: Ech, jisto czy sie głupie zdo.

Fojt: Na niech zisz przidóm, dycz do wydaja tak zesz usz jezde suco.

Fojtką: Zuska, jidz sie kapkym zrychtuj jak by usz tak prziszli (*Zuska wybiega*).

Tomek (*na stronie*): Ej, jo bych cie dzywczyn nie chciół, bo ku тебе chodził dziehczor.

Fojt: Tómek nie mamrej.

Tomek: Nic nie powiym, ale zdo sie mi ze sze tam coszi szmatle kolie uokna.

Fojtką: Gdoszi może po pas jidzie na proszynta abo po przepustkym.
(*Drzwi się otwierają i wchodzi swat Francek, ojciec Paweł, Janko i Jurek*)

Wszyscy: Pochwalem Jezus Krystus!

Fojt i fojtką: Nawiekiamyn.

Fojtką: Psyka koczki kany kiero, na kajsz sie was tela chłopów nabrało.

Fojt: Na tocz nó m jisto kocur zdechnie, dyszczie dó nas prziszli.

Francek: Dejie szednocz fojcie (*podają sobie ręce*).

Fojt: Szadejcz chłopionka kany kiery możecie i powieccie, co tam kany nowego?

Paweł: Nic tesz tam nowego nie wiymy, a zdrowiszczie som wszeczy?

Fojtką: Na my tesz chwała Bogu zdrowi wszeczy, a wy zasz tesz?

Jurek: Wszeczy zdrowi wszyndy, jyny jo kapkym biydny.

- Janko: Jistoś nimocny na chlebowe suchoty.
- Jurek: Zmyliłesz sze kamrat, kapsowe suchoty sie mie chyciły.
- Francek: Jurek tam rot leda co plecie, tosz wiycze fojcziczku przeboczcie żechmy tak wieczór prziszli, czuli my że niedłogo bedóm dzielicz sałasze i tosz my chcieli jakóm uowieczkym kupicz bo wy bejeczce mieli na przedoj.
- Fojt: Ej swatu, było to u mnie uowiec było zakiyl były sałasze, kopa sie jich dycki zimowało nó ale tak dło was tobych miał prawie jednóm.
- Jurek: A mie tesz jednóm, to bedóm dwie.
- Fojtką: Jurek jak bysz ty chczół baczowacz to jisto żodnej nie bedzie.
- Paweł: Jurek, zakurzimy se po cygarze zakiyl jako beje (*rozda je wszystkim począwszy od fojta i zapalają*).
- Francek: Tósz fojcziczku drogo byszcze nóm tóm uowcym szacowali.
- Fojt: Nalie niedrogo, dycz to teras na przednófk u tosz wóm baji co mogym ku ni dopłacicz.
- Francek: Dycz my tesz to fojcie chczeli na howani, uoto Janczisko kupił grunť u lynije i chczół by jakóm gazdofkym załozicz.
- Paweł: Kupach miał dzieczich fojcie, alie tyn (*wskazuje Janka*) snich nejrobotniejszy i przigazdwoł se szfarny grejcar co se żymie kupił.
- Fojt: Dycz u mie tesz żymie doboga, a jo ji ze se bóm do grobu nie weznym. Tesz mój grunť może gdoszi scherbowacz.
- Francek: Par Janko, jako nas majom fojt radzi, tósz dejżisz tam skapsy jakóm kapkym a beje pryndzy tyn chołdamasz.
(*Janko stawia dwie flaszki, jedną, czerwoną, wójtowej, drugą wójtowi*).
- Fojtką: Parczisz, tósz usz chołdamasz i aniszczie nie widzieli co kupujecie.
- Fojt: Na zóndż zisz staro i przywiecz zisz jim to ukozacz.
(*Fojtką wychodzi, wójt nalewa z flaszki wszystkim i piją, wchodzi fojtką z Zuską*).
- Francek: Przezuroku, nieurzeczo fojcie, naleszcze tesz to szumne uchowali aż chruza.

P a w e ł:

A tej drugij nimocze wdoma.

F o j t:

Ta drugo to wycze nie moja, to tak móm jako dyby za chowankym, uod babinej siostry je to cera. U mnie je jakody na zimowisku.

J u r e k:

Przikluczysz jom jakby mie sie uzdała.

F o j t k a:

Ty usz tam znosz downo nasze dzyfki.

P a w e ł:

Nale zawołejczisz ji, tesz by se uoto baji półkym przy nas wypila.

F o j t:

Zuska, zóńdz zisz tam po Hankym.

Z u s k a:

Nadycz mie na ni nie zolezi.

F o j t k a:

Tomek zawołej tu Hanki (*Tomek wychodzi*). Zuska siednij se ku Jankowi tu uoto, wycze usz przechroźnie mocka leczi roboty na ty nasze dzyfki (*wchodzi Hanka nieśmiało, patrzy w ziemię*).

F o j t:

Na tós prziszła ta nasza chowanica, staro! dejże tam kieluszki i tesz wy se wypijcze, wasza jisto słotko bo je czerwiono (*nalewają i wzajem się trącają*).

F o j t:

Tosz na zdrowi!

F r a n c e k:

Boże pożegnej!

J u r e k: (*śpiew*)

*Gorzolinko czotko moja
Nie pił jech cze jako fczora,
Byłas fczora fkarczmie w bani
A dziszkasz w mojij czepani.*

P a w e ł:

Ledwa liznół gorzołki a usz mu jidzie do spiywanio.

J u r e k:

A jak na Jankowym wieszelu bedym družbom uoto ze Zuskóm, to se potym dziepyr zaspiywóm.

Z u s k a:

Zasz mi tesz tam nie zolezi stebóm družbować.

J u r e k:

Dyby czy sie jyny dostało!

F o j t k a:

Zaszbych tesz tam cery nie dała stebóm za družkym.

Francek:

Przeboczysz tesz ludkowie, alie to dorzondźmy bez zbywanio, wycze my to tak se urzondźili po ceście jakjehmy szli do was, niechby Zuska szła za družkym.

Fojt:

Na tósz kómu?

Francek:

Na wycze Jankowi sze usz tam Hanka uzdała i tósz wóli ni my tu prziszli.

Zuska:

Sómszcie wy mi za snymbnicy! hi, hi, hi! (*Wybiega*).

Jurek:

Nó, nó, niechej, niechej Zuska dy czie żodyn nie biere.

Janko:

Haniczko, poj se ku mnie szednóc. Fojcie nimijcze za złe, bo my prziszli Hankym snymbicz. Mie nie zoleži na žymi waszij, kupilech kónsek gruntu u lynije to z Hankóm bedymy miecz na czym robicz, wy zasz na grunt możecz se wżóncz takigo co nimo žymie, to se wasz beje woził.

Fojtka:

Myszlisz se trómbo, że jo za bogocza cery nie wydóm, jeszcze nie takigo nóndym jakosz ty (*wychodzi*).

Jurek:

Nie takigo nóndźecz, ale takigo niy.

Fojt:

Wycze, wycze ludeczkowie złoczi, tocz rajwach. My na to rachowali, nale jo tam Hance nie zowiszczim, jyny tosz słowa zrobicz nimogymy, una mo macz, tósz by trza było zónszcz pónióm.

Hanka:

Jo zaleczim (*wychodzi*).

Fojt:

To tu blisko to chneda przidóm jyny wycze dacz ji tam una bodej co do tej cerze, bo tam doszcz biydy. Zakiyl szfagier ził tósz to tam uokorowoł jako móg, alie jak go potym w lesie zabiło tósz kapkym gazdófką podupadła, joch potym Hańczisko wżón zasfe, nale dy sie usz tam chcecz zbiyracz to jo tesz kierómszi stófkym dóm na wieszeli.

Paweł:

Ale dycz my sie fojcziczku uo nic nie uwżimómy, jyny tesz sfojtkóm na wieszeli pujdziecz pyrszo pora.

Francek:

Patrzy sie to fojcz, dy my za sfatóf na snymbach to musimy bycz za starostóf na wieszelu.

Fojt:

Trzaby było i patrzyło by sze ale sóm nimom jako iszcz, a babóm sze gyjszor uobiesił.

Paweł:

Tela zasz tam baby upytocz.

- F o j t: Moja baba nieupytano.
(*Wchodzi Hanka z matką*)
- M a t k a: Pochwalem Jezus Krystus, witóm was fszeckich.
- P a w e ł: Nawiekiamyn, tesz my was witómy.
- F o j t: Pójjisz se szednócz. Posłół jech babo po тебе, bo sie tu stfojóóm Hankóm miele.
- M a t k a: Szfagierku mój złoty, jo usz tam nic nie pokróncom jako usz tam wy uznocze a zrobicze.
- F o j t: Jo tak uznowóm jako dycki mój uociet niebogi padali, iże jak dzyfka pot krowym dojicz szado a przidzie snymbnik to niech sie biere a jidzie a tu jeszcze nic jinszigo jyny sie tak przet fszeckiyymi HANKI spytejmy czy pudzie.
- F r a n c e k: No tósz Hanka jakósz?
- H a n k a: (*nieśmiało*) Jaktosz za Janka pujdym, lebo za żodnego.
- F o j t: Tosz teras młodzi podejcie se rynce a niech fszecki cesty wasze mo Bóg we sfoji opiece.
- F r a n c e k: Ale beje pora, na mu duszu.
- J u r e k: Chłop jak szfiyca a dzyfka jak jagoda.
- F o j t: Tak moji mili: słowo je zrobione — niech nie bedzie uodmiynione a teras ty szwa-grófkó muszisz uobiecacz co bysz tej cerze tfoji za wiano dała.
- J a n k o: Pan Bóg zapłać za fszecko, nóń nic nietrza, móńy zdrowych dwacet palcóń to wy-żijmy.
- J u r e k: Mosz recht, Janku (*śpiew*):
*Nie chladej nigda syneczku
 bogatego wiana.
 Lepsza żonka pracowita,
 jako pozłacana.
 Bo co czy je po bogactwie
 i co czy po wianie...
 Jak sze czy tesz lynch bogaty
 do chaty dostanie.*
- M a t k a: Mało móń, alie co móń neįwzocniyjszigo to wóm młodzi dóń. Móń po niebo-szcziku Hanczynym tatulkowi jizbym na przigonie i pół drugo jochu pola, nalie

jeszcze Jano ze Zuzóm sze tesz tymu radujóm, piniyndzych nimóm jyny ty uoto strzybnioki coch jich we wiesieli za winiec dostała to wóm jich młodzi dowóm, wiym iżie tego mało alie jech to trzicet rokóf chowała i choczasz jako sie mi szczigalo toch jich nie udała.

Hanka:

Ponbóczek zapłac mamuliczko

Paweł:

A teraz urzónndzmy wiesieli.

Janko:

Jobych nie chciol robicz wielkich zgrajich aspoń po dwie pory.

Fojt:

Szak nejlepi a nas usz tam nie rachujcze.

Matka:

Na cósz tak?

Fojt:

Widzisz baby mi trucujom.

Paweł:

Jo z moij strony napytóm sfata Francka i Hadama uod Jasia.

Matka:

Na dy usz tak fojt nie pudóm z naszij stróny, to pujdzie Jano ze Zuzóm i potek splyniska za starostym.

Janko:

A ty Jurku bedziesz družba bo to jest nielachko słózba.

Jurek:

Hanka, ale druszka musi bycz gryfno.

Hanka:

Patrzało by sie Zusce, nalie ani nie wydechóm co mi powiy, to sama nie wiym i bojim sie, totesz fojcziczku usz jutro pujdym dó mamy.

Fojt:

Dyby cie gdo inszi broł toby my czy wieszeli zrobili.

Matka:

Nie utrocejcie sze.

Francek:

Ludzie dycz my uo poczynsnej zabyli.

Fojt:

Tosz wypijmy to (*nalewa*). Na zdrowi młodym!

Paweł:

No ludkowie roschodzmy sie bo młodym trza jutro ku farze.
A Jurek wypił a nie zaspiywoł.

Jurek: (*śpiew*):

*Usz sie fszeczy požynili,
A jo sie tesz uožynim.
Weznym jo se staróm babym,
Co chandluje korzynim.*

P a w e ł:

To będzie wieszoly družba.

F r a n c e k: *(nalewa)*

No a teras na zdrowi naszymu fojtowi, coby ził sto rokóf zaco nóm to pómók ty snymby dokurać. Wypijmy i rozyńdzmy sze a za trzy tydnie se na wieszelu kolcnymy.

(Trącają kieliszkami i mówią):

Na zdrowi fojtowi!

Odchodzą mówiąc:

Zostóńcie z Bogym.

F o j t:

Spanymbogym. Jo tesz idym do legieróf a ty Hanka potym dzwiyrze pozapiyrej a jutro se iczczie fczaszni rano na naukym ku farze i dejcie pozór cobyszczie fszecko umieli bo to na widzonych ludzich nie pasuje a cobyście welebnego pana nie nagniywali *(odchodzi)*.

J a n e k:

*Czakołjech cze Hanulinko uod dziecka,
Uod dziszka żesz ty moja jest usz wszecka.*

H a n k a:

*Jeszcze kapkym mój Janiczku to začas,
Po ślubie to stebóm pujdym choćby w las.
Pujdym jo se we wioneczku do szluby,
Potym bedym tfoja cało do zgonu.*

J a n k o:

Hanuś!...

H a n k a:

A cósz?

J a n e k:

Czujesz ty to jak mi sierco trzepoce?

H a n k a:

Czujym Janku bo cie lubim, bo mi dały тебе niebieskie moce.

J a n e k:

Haniczko ucałowacz bym chciał twóm gymbuś, byłby to dla mnie raj.

H a n k a:

Pocałuj Janku mie fszfieczy pierszi raz! Niech od dzisz serca nasze idą po kres wraz!!
(Całują się)

Zasłona spada.

Krytyczne uwagi

nad krytycznymi uwagami o wydaniu „Officina ferraria“

Przez długi czas nie zabierali głosu nasi lingwiści w sprawie utworu Rożdzieńskiego o szlachetnym dziele żelaznym. Chodziły jakieś głuche słuchy, że ktoś tam gdzieś tam biedzi się nad germanizmami w tym poemacie, ale dotąd nic jeszcze z tego nie wynikło. Już i niemieccy nawet językoznawcy zaczęli objawiać żywsze zajęcie się Rożdzieńskim (prof. Vasmer i dr Arnim), a nasi wciąż milczeli zawzięcie. Nareszcie, po czterech latach wyczekiwania (1933—1937), doszedł do nas z tych tam wysokości głos jakoby z groźnej gradowej chmury dolatujący. W tomie XVII „Prac Filologicznych” ogłosił poznański lingwista prof. E. Klich — obszerne, 15-stronicowe „Krytyczne uwagi o drugim wydaniu Rożdzieńskiego Officina ferraria” (str. 157—171). Biorąc więc pod uwagę zarówno dostojny organ polskiego językoznawstwa, jak i rozmiary artykułu — trzebaż się tą recenzją zająć bliżej, aby wydzielić z niej to, co dla dalszych studiów nad Rożdzieńskim jest tam istotnie wartościowe.

Zacząć muszę od parafrazy słów samego recenzenta. Jeżeli „pierwszym i najważniejszym zadaniem wydawcy zabytków językowych jest przedruk tekstu wierny, bezbłędny”, to zarazem nie ulega wątpliwości, że „pierwszym i najważniejszym zadaniem” recenzującego takie wydanie lingwisty musi być kontrola tekstu wydania, oparta na autopsji pierwodruku. Bez tego oparcia — oce-

na wydania tekstu pod względem językowym wywołać musi zasadnicze zastrzeżenia.

Takie właśnie zasadnicze zastrzeżenie umieszczam na czele moich krytycznych uwag nad „krytycznymi uwagami”. Czyżby dla recenzenta, mieszkającego w Poznaniu, nie było możliwe przyjrzeć się pierwodrukowi w Gnieźnie? Uzbroiwszy się w profesorski parasol i kalosze, można się było odważyć na taką niebezpieczną wyprawę nawet piechotką do tak górnego celu.

Że jednak, mimo to zasadnicze, niewiarogodne zaniedbanie, prof. Klich mógł swoją recenzję w ogóle napisać, zawdzięcza to niewątpliwie takiemu właśnie — jak moje — wydaniu tekstu. W przypisach bowiem notuje ono pilnie nawet najdrobniejsze odstępstwa od pierwodruku. Recenzent powinien był już na samym wstępie lojalnie to podkreślić.

Kilka oczywistych omyłek drukarskich (*no on czas zam. na on czas w. 636, ne było zam. nie było w. 690, twardą skałę zam. skałę w. 1044, lunę zam. lupę w. 1661, milirzu zam. w milirzu w. 1868*) wzbudziło w recenzencie „nieufność do wydawcy”. Doszło nawet do tego, że z zapalem zaiste godnym lepszej sprawy drabował przypisy i znalezione tam błędy drukarskie, polegające na odmianie jednej litery, pilnie w swym omówieniu wymieniał.

Wobec tego spodziewać by się należało, że recenzja jest pod tymże względem bez zarzutu, że ani tu omyłek ani błędów drukarskich nie szukać. A jednak już w samym jej tytule znajdujemy rażącą niedokładność. Wydanie „Officyny” z r. 1936 jest — ściśle mówiąc — nie „drugie”, ale chyba trzecie z kolei. Powołując się na uwagi o utworze Rożdzieńskiego, ogłoszone w I. K. C. z 10 VIII 1936, stwierdza recenzent, że podano tam „parę przykładów” moich nietrafnych objaśnień językowych. Używając tak właściwych lingwistom ścisłych określeń, należało unikać tak nieścisłych określeń jak „parę”. Bo — jak wiadomo — „parę” może oznaczać zarówno dwa, pięć, osiem, jak i dziesięć. Czytelnik rozumie przez „parę” zazwyczaj więcej niż dwa. A tymczasem tych przykładów jest tu akuratnie dwa, co nie trudno było zliczyć. A skoro jeden z tych przykładów (objaśnienie wyrażenia „potrafili wielkość rudy”) należałoby właściwie skreślić, to pozostanie istotnie tylko jeden (wizerze — w Izerze), a nie „parę”.

Aby ułatwić powoływanie się na różne miejsca tekstu, umyślnie policzbowałem dokładnie wszystkie wiersze od pierwszego do ostatniego. Przy cytowaniu różnych wierszy stwierdzam w recenzji niekonsekwencje: raz podaje ona dokładnie numerację odpowiedniego wiersza, gdzie indziej zaś utrudnia sprawdzenie podając: „str. 52 w. 2 i 3 o. g.”, a niżej „taż strona w. 10 o. d.” (str. 159), gdzie indziej znów podaje tylko stronę. Tak niekonsekwentną procedurę pozwolę sobie nazwać „utrudnianiem mimo ułatwień”. Nazywa ścisła? logiczna? No chyba!

Na str. 158 zaznacza recenzent z naciskiem, że u Rożdzieńskiego „występuje stale tylko formacja *Kuźnica*, *Kuźnice*, nigdzie *Kuźnia*”. Ejże! A w samymże tytule wielkimi jak wół literami wysmarowano „*warstat z Kuźniami*”! Dalej stwierdza mój krytyk, że Rożdzieński „konsekwentnie stosuje postać *Szląsk* (nie *Śląsk*)”. Na jakiej podstawie opiera się to stwierdzenie? Jeśli krytyk „żywi

nieufność do wydawcy”, to stwierdzenie takie wolno mu było zrobić — dopiero po przejrzeniu pierwodruku.

No a skoro się już wydawcy wytyka omyłki drukarskie nawet w przypisach, to niechże wolno będzie pięknym za nadobne się odpłacić i skrzywić się grymaśnie na to „*roi się* po prostu” na str. 170 i poprawić numerację wiersza 1866 na 1886 (str. 161 w. 14 od góry).

Chyba dość tych różnych zastrzeżeń, które „budzą nieufność do recenzenta”. Przejdźmy do sedna sprawy.

Więc najpierw transkrypcja tekstu. Recenzent ma do mnie pretensję, że nie uwzględniłem *á*. A czy nasze najważniejsze wydawnictwa tekstów staropolskich tj. Biblioteka Pisarzy Polskich Akademii Umiejętności i Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich uwzględniają *á*? Pretensja recenzenta jest więc nieco wygórowana. Natomiast słusznie wytyka on, że nie zostawiono w tekście pisowni *ogulny*, *pułnocy*, *z tę stronę*, *mysł*, *kunsztum*, *Serwiej*. Ale co do proponowanej *Bosny* w miejsce *Boszny* pierwodruku można by mieć wątpliwości (ja umieściłem tu *Bośni* w. 659). Recenzent wyraża „nawiasowo” zdziwienie, że w w. 1168 zostawiłem bez zmian formę *Ołomońca*. Nie stało się to przypadkiem; chodziło mi o utrzymanie graficznego odpowiednika pewnej fonetycznej właściwości.

Z kolei przechodzi recenzja do objaśnień w przypisach. Autor jej nie dostrzega wcale tego, że te przypisy obejmują kilka zakresów, że więc znajdziemy tu szczególnie dla recenzenta cenne notatki co do poprawek i odstępstw od pierwodruku, zestawienia ze źródłami, szczegóły z historii i geografii kuźnic wymienionych przez Rożdzieńskiego, wreszcie objaśnienia wyrażen z zakresu techniki górniczo-hutniczej i objaśnienia czysto słownikowe. Wyrażenie „niektóre realia”, którym recenzent z taką subtelną ironią jak ciężkim cepem na str. 160 wywija, odnosi się do określeń z dziedziny techniki górniczo-

hutniczej, na której nie zna się nie tylko wydawca i recenzent, ale także żaden z żyjących czy zmarłych naszych humanistów. Wobec tego objaśniałem te wyrażenia przy pomocy uproszonych w tym celu specjalistów, znawców historii hutnictwa i górnictwa inż. W. Kuczewskiego oraz inż. St. Płuszczyńskiego, co w danym wypadku wyda się każdemu jedynie racjonalne.

Ale recenzent ma pod tym względem wymagania bardzo wygórowane. Powiada on tak: „Żeby zrozumieć stronę realną tego rodzaju utworu jak „Officina ferraria”, trzeba by mieć wyczerpujący komentarz, napisany przez fachowca-hutnika, opatrzone dobrymi rysunkami”. Słusznie, bardzo słusznie! Należy się to od nas Roździeńskiemu. Wpiew jednak — małe zastrzeżenie. Ponieważ według wszelkich znaków na niebie i ziemi takie wspaniałe wydanie „Officyny” z wyczerpującymi komentarzami i rysunkami ukaże się — okrągło licząc — za lat pięćdziesiąt, więc wtedy dopiero zadowolony w pełni prof. Klich będzie mógł zasiąść do ostatecznej recenzji i wobec doskonałości wydania będzie się musiał ograniczyć tylko do wyluskiwania omyłek drukarskich, przecinków i kropek w przypisach, bo w samym tekście nie będzie żadnych drukarskich błędów. Nie uważałem jednak za stosowne, żeby tak długo miał pozostawać w ukryciu tak szanowny i taki zaszczyt naszej kulturze i naszej ubogiej jeszcze poezji pracy przynoszący poemat. Wydałem go jak mogłem najstaranniej nie cofając się bynajmniej przed ustawicznymi zabiegami o informacje z różnych źródeł.

Recenzja — omawiając przypisy, nie ogarnia ich całości, ogranicza się do zakresu objaśnień językowych. I tu najpierw jeszcze raz powtarza in extenso za informatorem z I. K. C. sprawę *wizerze* — w *Izerze*. Niewątpliwie z niem. *Klafter* wiąże się wyraz *latrów* (w. 1192), a jeśli w grę tu wchodzi „raczej starsza niemiecka oboczna postać *lafter*”, to jest to już sprawa interesująca tylko lingwistów. Co do owych *przeglębionych czopów* (w. 1584) należało — odrzucając objaśnienie

wydawcy — dać jakąś własną interpretację choćby hipoteczną, zwłaszcza że recenzent zna współczesne złożenia z *głobić* z terenu Śląska Cieszyńskiego (por. str. 168 recenzji w. 5—6 od góry). Ale recenzent czeka na „fachowy opis i odpowiedni rysunek” — i na to nie poradzimy. Nieściśle wyraża się recenzent twierdząc, że *wyrudnego* (w. 1866) poprawiam — jak pisze — na *wyrodnego*, skoro go w tekście zostawiłem bez poprawki; zresztą słusznie tu moją supozycję prostuje.

Na zmianę zepsutego *czynią* na *cyna* (w. 1087) zupełna zgoda; jest to jedno z najcenniejszych stwierdzeń w tej recenzji.

Czy aby nie zbyt szeroko rozwodzi się nasz krytyk nad objaśnieniem do w. 1161 (opockiej = opoczyńskiej)? Prawda, że moje objaśnienie jest niepewne, opatrzone znakiem zapytania, ale ostatecznie dobre, więc chyba niepotrzebnie rozmachnął się tu tak szeroko recenzent na dłuższą pouczającą gawędę.

Bardzo się czuję obowiązany za to, że ostatecznie, mimo braku „fachowych opisów i odpowiednich rysunków”, godzi się recenzent na objaśnianie technicznych terminów, natomiast muszę zaprotestować przeciw uznaniu za zbyt techniczne objaśnień wyrazów, które recenzent uważa za oczywiste, „banalne”. Czy czytelnik, pozbawiony lingwistycznego pomazania, uchwyci od razu sens w. 1273—4? czy „banalne”, nie wymagające objaśnień będzie dla niego wyrażenie „*las leszczym, tarnim wyrosły*”? A czy „banalnym jest wyraz *dości*” (w. 1152 i 1171), skoro nad tą formą sam recenzent gdzie indziej (str. 166—7) szerzej się zastanawia?

Oczywiście, że są w tekście wyrazy „ze znaczeniem niezupełnie przejrzystym lub osobliwym odcieniem znaczenia”. Skoro wydawca nie mógł ich objaśnić, to spodziewalibyśmy się, że recenzent jako lingwista te wątpliwości w puch rozwieje. Ale i dla niego *żeleziwy* (w. 1118) wyraża tylko „jakąś właściwość” rudy, ale i on co do *porząd* w w. 857 nie umie znaczenia wyjaśnić („może *rzędem*, w *rzędzie*, może *zaraz*”; to ostatecznie objaśnienie wydaje mi się niezbyt szczę-

śliwe). Domaga się recenzent objaśnienia przymiotnika *plowy* (w. 1358) jakby nie było go ani w *Panu Tadeuszu* (XI, 199), ani nawet tu i ówdzie w dzisiejszym języku. Umyslnie pytałem parę osób i wszystkie przez *plowy* rozumiały żółtawy, co odpowiada Schwenckfeldtowemu „*lacte suffusus*”. „Two-ry nominalne i werbalne od pnia *praw*”, o których pisze recenzent na str. 163 — toż to kapitalny, wymarzony temat na doktorską czy habilitacyjną rozprawę! Dopiero wtedy, gdy się ukaże kilka podobnych prac, będzie można poważnie nad krytycznym wydaniem tego tekstu się zastanowić. Byłe tylko tymczasem nie zaabsorbowały naszych lingwistów kilkakrotnie reformy ortografii.

Na str. 165 stwierdza recenzja, że w zakresie fonetyki „stara się wydawca pomóc rozumieniu czytelnika w wypadkach banalnych, a uchodzą jego uwagi zjawiska ciekawsze”. Złe się stało, że recenzja tych „banalnych wypadków” choćby dla przykładu nie wymieniła. Co do tej konsekwencji w piśmowni *Szląsk* a nie *Śląsk* — już była mowa wyżej. Przepomniął jednak recenzent o jednym szczególnie dla jego dociekań bardzo ważnym — a mianowicie, że *Officinę* drukowano w Krakowie, a nie na Śląsku, więc i składacz mógł tu łatwo do tej fonetyki dorzucić swoje trzy grosze, zwłaszcza że to przecie nie Łazarzowy druk, ale późniejszy, siedemnastowieczny. Sierdzi się recenzent, iż nie zauważyłem, że „słowutny Sych”, wspomniany w moim wstępie (str. XVIII), „to może Zych, hypokorystikum do Zygmunt, choć można by też i Sych czytać” (!!). Te hyperkrytyczne pretensje z hypokorystikum — to już czysta humorystyka!

Widzi recenzent w tekście wiele ciekawych zjawisk, germanizmów, form wyjątkowych; na niektóre zwracałem uwagę we wstępie mówiąc o języku i wierszu. Ponieważ szczególnie ważnym wydało mi się stwierdzenie śladów gwarowych odcieni w dziele Roździeńskiego, zwróciłem się osobiście do prof. Klicha o informacje w tej sprawie jako do specjalisty. Oświadczył mi,

że te ślady są tam bardzo nieznaczne. W tym też sensie wyraziłem się we wstępie (str. XV). Korzystając z uwag prof. Vasmera (*Ztschft für sl. Philologie* XII, 3—4, str. 357—8) wskazywałem na to, że gwarowe odcienie wymowy są może tu i ówdzie w rymach uchwytniejsze, ale należałoby je na tej drodze wydobywać z bardzo daleko idącą ostrożnością. Tymczasem prof. Klich wytacza w sprawie odcieni gwarowych przeciw mnie jedną z najcięższych kolubryn ze swego arsenału podkreślając, że nie wypadało tak krótko z tą sprawą załatwić się temu, „który wszak przez szereg lat działał na Śląsku Cieszyńskim”. Przez trzy lata przed wojną światową istotnie pracowałem tam jak mogłem, ale gwarą śląską specjalnie się nie zajmowałem. Rad więc jestem, że te ślady gwarowe wskazał teraz recenzent jako bardziej ode mnie kompetentny. Te ustępy recenzji pozostaną w zakresie wiedzy o języku Roździeńskiego jako nabytek istotnie wartościowy. Prof. Klich zestawił pewne postacie fonetyczne, właściwe dziś śląskiemu regionowi, i kombinuje je z czechizmami dziś wyłącznie śląskimi. Do form śląskich zalicza: *stroj*, *nastroj*, *ocyl*, *rumpał*, *pochop* (= zamach), *rosprach*, *dości*, *posłuchać* (= słuchać), *obwieszczuje*, *gorzywały*, *podarzyć się* itd. Co do *smykać* się jako śląskiego dialektyzmu miałbym pewne wątpliwości; słyszałem nieraz ten wyraz na Podhalu.

Jakiż jest sens ostateczny tych moich krytycznych uwag nad krytycznymi uwagami prof. Klicha? Otóż recenzja jego nie uwzględnia całości zagadnień, związanych z wydaniem „*Officina ferraria*”, zajmuje się tylko jednym ich odcinkiem. Ale i w tym ograniczonym zakresie nie można jej przyjąć bez zastrzeżeń. Najważniejsze z nich — to zupełne pominięcie pierwodruku. W niejednym wypadku żywi recenzent do wydawcy nieuzasadnione pretensje; wszystkich wątpliwości językowych nie usuwa. Istotną tej recenzji zdobyczą jest przekonywująca koniunktura *czynią* — *cyna* oraz uwagi o śląskich dialektyzmach.

Materialy

Kapliczki przydrożne w Rybnickiem

W czasopiśmie „Naokoło Świata” (nr 139, listopad 1935, str. 49) omawia J. K. Maciejewski w krótkim artykule, zatytułowanym „Święci przy drogach”, kapliczki w różnych regionach Polski. Między innymi powiada autor, że najmniej ciekawymi są kapliczki śląskie, ponieważ to tylko krzyże kamienne. Twierdzenie to nie odpowiada rzeczywistości, a pochodzi najprawdopodobniej stąd, że brak dotychczas opisów kapliczek śląskich. Kilkuletnie studia przeprowadzone w tym kierunku dostarczyły bogatego materiału, świadczącego o obfitości form kapliczek śląskich. W części t. zw. Zielonego Śląska (pow. pszczyński i rybnicki) znajduje się mnóstwo ciekawych i niemniej oryginalnych kapliczek. W każdej, chociażby najmniejszej wiosce, znajduje się jakiś krzyż, obraz na drzewie czy okazalsza kapliczka, otoczona przez miejscową ludność specjalną czcią oraz ochroną. Na miejscu dawnych, drewnianych kapliczek, kształtowanych ręką prostego, wiejskiego cieśli względnie snycerza, stoją w niektórych okolicach (zwłaszcza uprzemysłowionych) kapliczki murowane lub kamienne. Np. w Knurowie na miejscu dawnej, drewnianej kapliczki św. Jana Nepomucena stoi dzisiaj kapliczka murowana, przypominająca swoim kształtem „latarnię umarłych”.

Z każdym krzyżem czy kapliczką, chociażby najskromniejszą, związana jest jakaś legenda. Kapliczki śląskie to świadkowie doli i niedoli rolnika, a nieraz i całej wioski. Przetrwały one różne burze dziejowe i zawieruchy wojenne. Niejedne pamiętają pierwsze czasy chrześcijaństwa (np. kapliczka w Wilczy Dolnej), pierwotne życie wśród lasów (np. niski krzyż przy drodze w Bujakowie), początki przemysłu, kolejnictwa i ostatnie powstania śląskie. Stawianie krzyży i budowanie kapliczek przydrożnych jest stałym zjawiskiem, łączącym się także m. in.

ze współczesnością (np. krzyż w Dębieńsku Starym).

Z inicjatywy Komisji Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej w Krakowie — Koło Krajoznawcze Młodzieży Szkolnej im. J. Lompy w Knurowie, pow. Rybnik, zajęło się opracowaniem kwestionariusza do opisu kapliczek na terenie północno-zachodniej części powiatu rybnickiego. Ponadto autor niniejszego artykułu wraz z Józefem Rogulskim, naucz. z Knurowa, przeprowadzili szczegółowe badania na terenie kilku miejscowości pow. rybnickiego i pszczyńskiego. Zarejestrowano dane o kapliczkach i krzyżach przydrożnych na terenie 16 miejscowości (Borowa Wieś, Bujaków, Chudów, Czuchów, Czerwionka, Dębieńsko Stare i Wielkie, Gierałtowice, Knurów, Paniowy, Paniówki, Przyszowice, Ornontowice, Szczygłowice, Wilcza Górna i Dolna) i zebrano o nich możliwie szczegółowe dane. Spotkano 15 kapliczek, 17 krzyży kamiennych oraz 13 krzyży drewnianych.

W miejscowościach Mokre, Bujaków, Paniowy, Borowa Wieś, Ornontowice, Dębieńsko Stare stoją kapliczki względnie krzyże przydrożne na niewielkich wzniesieniach (kopcach). Pod nimi rzekomo znajdują się groby rycerzy szwedzkich. Oryginalna taka kapliczka, „szwedzką” zwana, znajduje się w Bujakowie, nieco większe stoją w Mokrem i w Dębieńsku Starym, natomiast krzyże znajdują się w Borowej Wsi, Paniowach i Ornontowicach. Często stawiano krzyże na miejscu jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, gdzie znajdowano trupa. Za Bujakowem np. stoi krzyż kamienny przy drodze prowadzącej z Bujakowa do Paniów. Podobno w tym miejscu zdarzały się częste mordy (mąż zabił żonę, bandyci zabili robotnika, wracającego z wypłatą, zastrzelono kłusownika). We wsi Bujakowie, obok drogi, znajduje się niski krzyż, wyciosany z jednego kawałka kamienia. Rozbójnicy mieli na tym miejscu zamordować za-

konnicę w r. 1691, która wiozła swoje wiano do klasztoru. Stawiano krzyże w obrębie swoich zagród, jako dziękczynienie za doznane łaski, np. za szczęśliwy powrót z wojny. Rozpowszechnionym natomiast był na Śląsku zwyczaj przeznaczania pewnej części swego majątku na t. zw. fundację krzyżową. „Starzykowie” budowali krzyż na swoim polu i do opieki nad nim zobowiązywali swoje dzieci. Niewątpliwie przyświecała staruszkom jakaś intencja, jakiś cel, o którym dzieci nie zawsze wiedziały. W 15 wypadkach np. nie można było sprawdzić przyczyny powstania kapliczki względnie krzyża.

Na szczególnie wyróżnienie zasługuje kapliczka w Wilczy Dolnej i krzyż w Dębieńsku Starym. Pierwsza pochodzi według relacji tamtejszej ludności z czasów Cyryla i Metodego, którzy mieli zabić olbrzymiego smoka, gnębiącego okoliczną ludność. Zabitego smoka miano przy udziale oswobodzonej ludności zakopać w głębi lasu. Uradowana ludność wracała z lasu ze ściętym wierchołkiem zielonej jodełki, który zatknęto do ziemi na rozstajnych drogach. Jodełka ta aczkolwiek pozbawiona korzeni przyjęła się i wyrosła w potężne drzewo. Kiedy ją jednak wyrwał wichur, postawiono na tym miejscu kapliczkę, która do dzisiaj przetrwała. — Natomiast krzyż w Dębieńsku Starym powstał dzięki wielkiemu przywiązaniu Ślązaka do swej Ojczyzny. Oto napis znajdujący się na tym krzyżu: „Na chwałę Boga i Ojczyźnie, a pamięci uchwalenia Konstytucji w dniu 23 IV 1935 r. postawiło potomnym obywatelom społeczeństwo Gminy Dębieńska Starego w dniu 12 maja 1935 r.”

Napotkane kapliczki przydrożne są murowane, frontem zwrócone do drogi, a z tyłu zaokrąglone. Jedynie kapliczka szwedzka w Bujakowie ma kształt kolumny dwupiętrowej oraz kapliczka św. Jana Nepomucena w Knurowie, która przypomina t. zw. „łatarnię umarłych”. Daszek bowiem tej kapliczki jest wsparty na 4 kolumnkach. Natomiast kapliczka w Dębieńsku Starym jest zbudowana na kwadracie (3 m × 3 m). Pod gontowym daszkiem, zakończonym krzyżem

o podwójnej poprzecznicy, znajdowały się cztery obrazy, zwrócone w cztery strony świata. Jedną tylko spotkano kapliczkę drewnianą i to w Przyszowicach pod w. Św. Jana Nepomucena. Gotycka ta kapliczka stoi na placu folwarcznym, nad niewielkim stawem.

Kapliczki są przeważnie poświęcone św. Janowi Nepomucenowi, który miał podobno przypominać mieszkańcom (Polakom) o dochowaniu tajemnicy. Jedną tylko kapliczka (w Przyszowicach) mieści drewnianą figurę św. Floriana, którą rzebił C. Staniek w r. 1855, o czym mówi napis z tyłu. Natomiast kapliczka w Wilczy Dolnej zawiera obraz Matki Boskiej.

Krzyże kamienne budowane są w każdej miejscowości nieco odmiennie. Najokazalsze są krzyże w Ornontowicach. Pod ramionami krucyfiksu znajdują się figury M. B. i M. Magdaleny. Ponadto niżej we wnęce pionowej części krzyża umieszczona jest jeszcze jedna figura (np. św. Anna, złożenie do grobu itp.). W Gieraltowicach i Czerwionce stoją krzyże bez bocznych figur, a tylko ze środkową, we wnęce krzyża. Każdy krzyż otoczony jest płotkiem do 1 m wysokości, rzadziej drewnianym a zazwyczaj żelaznym.

Wszystkie kapliczki i krzyże przydrożne są przystrajane w kwiaty i zielen, zwłaszcza z okazji niektórych uroczystości kościelnych. W pewne dni w roku udają się do nich procesje z udziałem duchowieństwa. Bardzo często spotyka się na frontowych ścianach domów umieszczone figurki, wzgl. obrazy świętych w odpowiednich zagłębieniach murów, specjalnie do tego celu przeznaczonych. — Bardziej różnolicie przedstawiają się kapliczki w powiecie pszczyńskim. O wiele rzadsze tam są kapliczki i krzyże murowane.

Skromny ten szkic, oparty na szczegółowych badaniach niewielkiego terenu, przekonuje nas z jednej strony o tym, że i kapliczki śląskie są różnorodne w swej formie, a przede wszystkim świadczą one o polskości ich fundatorów, bo prawie na wszystkich widnieją polskie napisy.

Al. Waszek

Dokument z roku 1454

W archiwum książąt Hohenlohe na zamku w Koszęcinie znajduje się ciekawy dokument z roku 1454, dotyczący sprzedaży sołectwa w Pawłowicach koło Gorzowa, w powiecie oleskim (Śląsk Opolski). Dokument jest autentyczny, pisany na pergaminie, pieczęć jednak już odpadła. Z uwagi na ciekawą treść umieszczamy ten dokument w brzmieniu oryginału wraz z przekładem na język polski i objaśnieniami kilku ważniejszych okoliczności.

Ludwik Musiol

In nomine domini amen. Noverint universi, tam presentes quam futuri, ad quorum noticiam perveniet scriptum, quod ego Adam, vir laboriosus de Pawlowicz, ex bona mei deliberacione animi, non coactus nec compulsus nec aliquo dolo vel fraude seductus, sed mea mera et spontanea voluntate ac amicorum meorum maturo prehabito consilio, sculteciam cum duobus mansibus liberis et cum piscina item domum in villa Pawlowicze sub domino Stephano in districtu Rosenbergense iacentem, cum omnibus utilitatibus, fructibus, quibuscunque nominibus nominatis in eadem existentibus, laborioso viro Petro Pyechen vendidi et presentibus vendendo perpetue et in eternum tempus, cum isto iure, sicut solus tenui. Item servicia item scultetus vel suus successor talia debet habere: unum equum ad expeditionem proclamata in tera pro duabus sexagenis latorum grossorum et balista qui valeat. Et debet Petrus Pyechen vel sui successores cum domino equitare ad expeditionem duo miliaria et eciam reverti in domum, dando domino Stephano vel eius successoribus equum cum balista¹⁾. Item idem scultetus prenomatus vel sui successores debent habere aliud servitium ad equitandum domino: quatuor miliaria super suos expenses, quo fuerit domino opportunum, et quando (insuper?) voluerit, quatuor miliaria equitabit, hoc super domini expenses. Et ego predictus dominus Stephanus vel mei successores... pro dampno in meo servicio et pro... dampnum non persolvam vel mei successores; tunc idem scultetus vel eius successores (manebunt?) in servi-

cio, donec sibi persolvam. Item prenomatus scultetus vel eius successores debent facere prandium ter per annum super dominum hereditarium. Item idem scultetus sepedictus vel eius successores debent dare equos suos equitare pro cerevisia ad Gorzow, ad iudicium, et seniores ibidem in Pawlowicz debent eligere eandem cerevisiam, et si dominus Stephanus vel sui successores iusserit in Rosimberg vel ad Crewczburg equitare pro cerevisia ad iudicium terre, tum villa debet compedere equos et scultetus in iudicio non tenetur solvere cerevisiam. Item idem scultetus Petrus Pyechen vel sui successores possunt in fluvio dicto Przaszna vulgariter yasi facere, tam (...*) sicut isti duo manses liberi alias lany sunt, et cum (...*) emit, qui dicitur „na Dupynye”, quo iacent piscine Mostky, et inter magna...*)).

Item eidem sculteto Petro Pyechen vel eius successoribus debet advenire tercius denarius iudicii. Item idem scultetus vel eius successores habebunt thabernam liberam cum maccellis carnificum, sutorum, sartorum, pistorum et pellificiorum. Item idem scultetus prenomatus vel eius successores possunt tenere proprium pastorem ad pascendas oves, sed alia peccora debent pascere cum vicinis; item idem scultetus vel eius successores potest facere aream in qua ludunt de monte cum ovis post festum Pasche, et non aliter sine voluntate sculteti vel eius successorum²⁾. Item idem scultetus multocius dictus vel sui successores debent inassurare sepes circa villam, dictas aliter „wungrodnje”³⁾, et debent distribuere cmethonibus ad sependi. Item idem scultetus vel sui successores debent iuvare in aggere laborare pariter cum vicinis in piscina vulgariter „pod wanem”. Item quando dominus Stephanus vel eius successores equitaverit ad prelium, tunc sepedictus scultetus vel eius successores debent fideliter providere et conservare bona domini sui; et cum aliquid sepedictus scultetus mandaverit kmethonibus ex mandato domini sui hereditarii, tunc vicini debent ipsum obedire vti dominum in presencia. Quare sit licitum

*) Miejsca uszkodzone i przeto nieczytelne.

eidem Petro Pyechen et suis successoribus legitimis et pueris ipsius et eorum, eandem sculteciam tenere, habere, regere et gubernare, ac pacifice et libere temporibus perpetuis possidere.

Item valebit eandem commutare, dare, donare, item ad usos suos et suorum successorum complacitos convertere, prout sibi et suis successoribus legitimis melius et utilius videbitur expedire, sine mea et meorum successorum voluntate, cum isto iure sicut in ista pagina scriptum est. In cuius rei testimonium sigillum meum est appensum.

Actum et datum in Rosimberg, fferia tertia ante Agnetis, sub anno domini M CCCCL IIII^o et presentes fuerunt nobilis vir dominus Dirsłacz Walczarzowski, tunc temporis rosimbergensis dominus, Ysaías Szechowski, dominus Johannes Yasensky, dominus Kozłowsky et Pyegza, concivis rosimbergensis et Petro Pretia, in cuius domo ista facta sunt, et me Gregorio, tunc temporis notario civitatis.

W przekładzie brzmi ów dokument następująco:

W imię Pańskie, amen. Niech wiedzą wszyscy tak obecni jak i potomni, do których wiadomości niniejsze pismo przyjdzie, że ja Adam, człek robotny z Pawłowic z dobrego namysłu, nie zmuszony ani nie napędzany, czy też podstępem lub wybiegiem zwiedzony, lecz z własnej woli i po gruntownej naradzie z moimi przyjaciółmi, sprzedałem sołectwo z dwoma łanami wolnymi wraz ze stawem, a także dom we wsi Pawłowicach, pod panem Stefanem w obwodzie oleskim położone, wraz z wszelkimi użytkami i pożytkami, pod jakimikolwiek nazwami w nim będącymi, robotnemu mężowi Piotrowi Piechowemu; i niniejszym sprzedaję mu na zawsze a na wieczne czasy, z takim prawem, z jakim ja sam otrzymałem: Służby ów sołtys lub jego następca będzie uiszczał następujące: Konia jednego (będzie dostarczał) na wypadek w ziemi ogłoszonej wyprawą, wartości dwu

kóp szerokich groszy oraz kuszę słuszną. Piotr Piecha lub jego następcy winien jest wyjechać na wyprawę (wojenną) z panem dwie mile, a potem wróciwszy do domu, oddać panu Stefanowi lub jego następcom tak konia, jak i kuszę¹⁾. Również ów sołtys wyżej wspomniany lub jego następcy będą mieli inną służbę jeżdżenia konno dla pana: a to cztery mile na własne koszty, kędy panu będzie potrzeba, a gdy tego (ponadto?) będzie żądał, pojedzie cztery mile na koszty pana.

A ja wyżej wspomniany pan Stefan lub moi następcy...*) odpowiadać będę za szkody poniesione w mej służbie, lecz za...*) szkodę nie zapłacę ani moi następcy. Ów sołtys lub jego następcy (pozostaną) w służbie, dopóty ich...*) nie zwolnię. Także wspomniany sołtys lub jego następcy zobowiązani są sporządzić jedzenie trzy razy w roku dla pana dziedzicznego. Także wspomniany sołtys lub jego następcy powinni dostarczyć swoich koni, aby pojechać po piwo do Gorzowa, do sądu; a starsi w Pawłowicach mają wybrać owo piwo. A gdy pan Stefan lub jego następcy każe pojechać do Oleśna lub Kluczborku po piwo na sądy ziemskie, wtenczas wieś dostarczy koni a sołtys w sądzie nie powinien dostarczyć piwa. Również tenże sołtys Piotr Piechów lub jego następcy mogą w rzece zwanej Przaszna, uczynić jazy tak...*) jak owe dwa wolne łany są; a gdy ...*) kupi, która zwie się „na Dupinie”, gdzie leżą stawy „Mostki”, i między wielkimi...*)).

Także temuż sołtysowi Piotrowi Piechowi lub jego następcom należeć ma trzeci pieniądz z sądu.

Także ów sołtys lub jego następcy będą mieli karczmę wolną wraz z jatkami miasarskimi, piekarskimi, szewskimi, krawieckimi i sukienniczymi. Wspomniany sołtys lub jego następcy będą mogli trzymać własnego pastucha do paszenia owiec, lecz inne było winni

*) Miejsca uszkodzone i przeto nieczytelne.

wypasać wraz z sąsiadami; również tenże sołtys lub jego następcy może urządzić plac, na którym się bawią z górką jajkami po Wielkiejnocy²⁾, a inaczej (gdzie indziej) nie wolno bez woli sołtysa lub jego następcy. Tenże sołtys częstokroć wspomniany lub jego następcy powinni czuwać nad opłaceniem wokoło wsi, co nazywa się zwykle „wągrodne”³⁾ i winni przydzielać (miejsca) kmieciom do płocenia. Tenże sołtys lub jego następcy winni pomagać przy pracy na grobli, na równi z innymi sąsiadami, przy stawie zwanym „pod Wanem”. Gdy pan Stefan lub jego następcy wyruszą na bój, wtenczas często wspomniany sołtys lub jego następcy powinni wiernie troszczyć się i zachowywać dobra swego pana; a gdy wspomniany sołtys nakaze coś kmieciom z polecenia pana swego dziedzicznego, wtenczas sąsiedzi winni mu posłuszeństwo jako panu, gdyby był obecny. Dlatego też będzie wolno temu Piotrowi Piechowemu i jego prawnym następcom i chłopcom (synom) jego i tychże, owe sołectwo trzymać, mieć, (nim) rozporządzać i prowadzić, a spokojnie i swobodnie posiadać na wieczne czasy. A także będzie w mocy je zmienić, dać, darować, na dowolny użytek swój i swych następców obrócić, a jak się jemu i jego następcom prawnym lepiej i pożyteczniej być zdawać będzie, a to bez mej lub mych następców woli, z tym prawem, jakie na tej to karcie jest spisane. Na świadomość tej sprawy pieczęć moja jest przywieszona.

Działo się i dano w Oleśnie, we wtorek przed Św. Agnieszką, w roku 1456, przy czym obecni byli szlachetny mąż i pan Dzierżysław Walczarzowski, terazniejszy pan oleski, Iziasz Szczechowski, pan Jan Yasiński, pan Kozłowski, oraz Piegza, współobywatel oleski, i Piotr Pretia, w którego domu te rzeczy się stały, oraz wobec mnie, Grzegorza, tego czasu pisarza miejskiego.

PRZYPISKI

¹⁾ Obowiązek sołtysa do uczestniczenia w wyprawach wojennych przy boku swego pana, widzi-

my tu już nieco zmodyfikowany. Sołtys towarzyszy swemu panu dziedzicznemu, wyruszającemu na wyprawę wojenną, jedynie na odległość dwu mil, po czym wraca do domu, oddawszy uprzednio swemu panu konia i broń. Podczas nieobecności pana dziedzicznego sołtys administruje dobrami w imieniu nieobecnego pana. — Te i podobne funkcje ilustrują dobitnie doniosłą rolę sołtysa w ówczesnych wsiach na Śląsku.

²⁾ Ciekawy ten zwyczaj wielkanocny: staczenie jajek wielkanocnych po pochyłej płaszczyźnie (według pewnych prawideł), zaświadczony w powyższym dokumencie, zachował się w pewnych stronach po dziś. Pewnie był to zwyczaj znany w Polsce dziś jeszcze pod nazwą „rękawki”.

Widocznie ludność ówczesna musiała się z pasją oddawać tej grze czy zabawie, jeżeli z urzędzenia tych zabaw uczyniono przywilej dla sołtysa, z którego chyba ciągnął jakieś korzyści.

³⁾ Płoty wokoło całej wsi („sepes circa villam”), nie tylko wokoło poszczególnych zagród czy gospodarstw, zachowały się także w innych stronach Śląska od czasów wieków średnich do XVII, XVIII w. Było to coś w rodzaju naśladownictwa murów miejskich. Opłocenie obejmowało jedynie właściwe zabudowania wsi, pola oczywiście leżały już poza opłoceniem; na „zapłociu” znaczyło poza opłoceniem wsi. Na mapie Hindenberga, wyobrażającej w dużych rozmiarach obszar księstwa pszczyńskiego, z r. 1636, wszystkie wsie otoczone są jeszcze płotem jednolitym, biegnącym wokoło całej wsi, a mającym wrota zwykle w dwu miejscach, kędy droga przecinała wieś. — W Starej Wsi pod Pszczyną jeszcze w roku 1750 ludność naprawiała z rozkazu zamku „bramę” do wsi, gdyż i ta, od szeregu lat zniszczona, nie chroniła już dostępu do wsi. Z chwilą rozmnożenia się osadnictwa chałupniczego poza opłoceniem wsi od XVIII w. owe „wągrody” wiejskie stały się przeszkodą i znikły. W dokumencie niniejszym opłocenie wsi, a raczej obowiązek opłocenia, nazwane jest „wągrodne” (w pisowni dokumentu: wungrodnye). Dziś jeszcze w narzeczach znany jest wyraz „wągroda” w znaczeniu „płot”, „miedza” (Karłowicz, Słownik gwar polskich).

Recenzje i sprawozdania

Śląski plon literacki w roku 1937

Skromny był zeszłoroczny plon literacki na Śląsku: jeden tom prozy Gustawa Morcinka, tom opowiadań gwarowych Ludwika Łakomego i kilka tomików wierszy młodszego pokolenia, wreszcie rodzaj wierszowanego pamiętnika Ślązaka [Emanuela Grima] — to chyba i wszystko. Może trzeba by jeszcze zaliczyć do beletrystyki (częściowo przynajmniej) monografie historyczno-literackie Mieczysława Tobiasza. Uporczywie milczy dalej Walenty Krząszcz, jeden z najciekawszych polskich pisarzy ludowych, zapewne nie mistrz prozy, ale miły gawędziarz, którego pełne humoru i pogody opowiadania tchną zapachem podbeskidzkiej wsi, są interesującą ilustracją literacką życia ludu Podbeskidzia, jego marzeń i tęsknot, zainteresowań i dążeń. Zaciął się także w milczeniu Włodzimierz Zelechowski, zrażony może obojętnością publiczności na jego wysiłki prozatorskie, które przecież były godne uwagi. Emanuel Imiela wziął chwalebny zapęd twórczy opowiadaniem, ogłaszającym w „Polsce Zachodniej”, lecz obecnie, nie dokonczywszy w druku swego „Twardonia”, milczy znów od dłuższego czasu. Być może, że tej posusze literackiej na Śląsku winna jest miejscowa polityka wydawnicza. Już dawno nie słyszało się, by Zakłady Wydawnicze Karola Miarki w Mikołowie, dawniej tak ruchliwe, wydały coś własnego. Dwie zamienne księgarnie w Katowicach też nie mają ochoty ryzykować, a „Dziedzictwo” cieszyńskie po wydaniu nowel Ludwika Kobieli pt. „Żabi kraj” woli wydawać prace polemiczne. To też szereg ludzi, którzy mają wartościowe prace na warsztacie lub gotowe, szukać muszą wydawców poza Śląskiem lub wydawać własnym kosztem. Popularny gawędziarz Stefan Gątański wydał swoje dwa tomy opowiadań regionalnych w Włocławku, Paweł Kubisz, najtęższy współczesny poeta śląski, piękne rokujący nadzie-

je, wydał swój „Przednówek” nakładem założonego niedawno Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego w Cz. Cieszynie. Wydawcy czeka tom nowel, tematycznie z Śląskiem związany, Heleny Fikowej. Florian Śpiewak zebrał dużo legend i podań z powiatu rybnickiego i też się głowi nad tym, jakby je wydać. Zapewne Szewczyk i Baranowski mają również sporo gotowego materiału do druku. Gdzie są wydawcy?

Wracajmy jednak do plonu literackiego ubiegłego roku. Gustaw Morcinek powrócił książką „W najmłodszym lesie” do cyklu opowiadań o swych uczniach i doświadczeniach poczynionych w obcowaniu z młodzieżą. Praca ta nowych momentów tematycznych ani zasadniczych do twórczości Morcinka nie wnosi, jakkolwiek cieszy się dużym powodzeniem. Główne jej wartości polegają na tym, że dojrzały czytelnik zapoznaje się nieco głębiej z mechanizmem pracy szkolnej, z ciekawymi przejawami psychiki młodzieży i rodziców. Ponieważ są to rzeczy zaobserwowane na gorąco, nieraz zupełnie nie przetworzone artystycznie, stanowią więc w wielu wypadkach fotograficzną odbitkę życia młodzieży. Głównymi zwolennikami tych opowiadań będą młodzi, którzy tutaj odnajdują siebie samych.

Mało uwagi zwrócił tom opowiadań gwarowych Ludwika Łakomego pt. „Kwiaty na hałdach”. Niesłusznie, bo opowiadania te posiadają nie tylko wartość folklorystyczną, czysto regionalną, lecz są także przyczynkiem do psychologii zbiorowej ludności śląskiej. Część tych opowiadań ogłosił Łakomy już kilka lat temu. Nowe wydanie jest uzupełnione i konstrukcyjnie lepiej ze sobą zespolone. W opowiadaniach tych miesza się harmonijnie powaga z humorem, legenda i fikcja z rzeczywistością, przewija się dola górnika dawniej i dziś, szczegóły historyczne z chwilą bieżącą. Do najbarwniejszych opowiadań

należy przepyszna historia o powstańcu górnośląskim, który bez zaopatrzenia w święte sakramenta dostał się do nieba, narobił tam gwałtu i miał być wydalony z raju. Uratowała go jedynie interwencja św. Barborki i Najśw. Maryi Panny. W tej historyjce, przecież całkowicie fantastycznej, odzwierciedla się znakomicie psychika powstańca śląskiego, jego odwaga i hart, zawadiackość i pewność siebie, spryt i pokora zarazem. Książka warta była wydania — stanowi ona niewątpliwie najwartościowszą pozycję literacką ubiegłego roku.

O wydanych w ubiegłym roku tomikach wierszy Zabierzewskiej, Osmańczyka i Kubiśza rozpisywać się nie będę, omawia je bowiem w niniejszym zeszycie kto inny. Podkreślić w każdym razie warto, iż utworami tymi wkroczyła poezja śląska na nowe tory i że twórcy jej zasługują na bliższe zainteresowanie się ich pracą, na życzliwą i wydajną pomoc.

Ciekawe koleje przechodził wydany w dwóch tomach w roku 1935 pamiętnik wierszowany Ślązaka „Z nad źródeł Olzy”. Jeden z zamieszczonych tam wierszy zwrócił uwagę „srogiego” cenzora, który zarządził konfiskatę obu tomów. W wierszu pt. „Z goryczą” wypowiedział poeta istebniański z okazji rocznicy ustalenia granic śląskich swój żal, że władze centralne zbyt mało wykazały zainteresowania dla sprawy śląskiej. Wiersz kończył się takim oskarżeniem:

Warszawo, Warszawo, za to dziś wróg płaci,
bo braci za Olzą smaga batog kaci...
Ze nad Śląskiem słońce dziś zachodzi krwawo,
Tyś-to zawiniła, Warszawo, Warszawo!

Ostatecznie jednak cenzura zwolniła zbiór Ślązaka od zajęcia. Autor wypowiada się tutaj w prostej, nieraz nieporadnej formie, z najrozmaitszych swych przeżyć i wrażeń. Są to wszystko — z małymi wyjątkami — wiersze okolicznościowe, bez pretensyj do artystycznego wykończenia. Odbijają się w nich różne rocznice, uroczystości radosne i smutne Śląska, znajdujemy tu wyrazy serdecznych uczuć ludności śląskiej dla braci za kordonami, apele do wytrwania przy polskości, prze-

strogi dla renegatów, refleksje osobiste autora na różnorodne tematy. W ten sposób posiadają wiersze te raczej znaczenie dokumentarne niż artystyczne, mają więcej wartości emocjonalnych niż formalnych.

W końcu jeszcze słów parę o działalności pisarskiej Mieczysława Tobiasza. Jego monografie poświęcone wybitnym działaczom i patriotom śląskim (Piotr Niedurny, Nauczyciel W. Janas, Poseł ks. J. Wajda i jego czasy, Pionierzy odrodzenia narodowego na Śląsku w XIX wieku), napisane są żywo i zajmująco, odznaczają się serdecznym stosunkiem autora do przedmiotu. Tobiasz umie stopniować efekty dramatyczne, posiada wy-czucie wymowy samych faktów, umie fikcji zakreślić niezbędne beletryzujące ramy. Bardzo dbały o to, by w niczym nie przeinaczyć istotnego przebiegu rzeczy, bywa Tobiasz nieraz zbyt skąpy w ubarwieniu emocjonujących wydarzeń, nadaje im zbyt dużo trzeźwej suchości, co może świadczyć zarówno o dużym poczuciu odpowiedzialności wobec przytoczonych faktów jak i o pewnym ubóstwie wyobraźni. Ponieważ autor nie zwierzał się nigdy o metodzie swej pracy, przyjmijmy raczej, że nie chciał kosztem większego napięcia emocjonalnego deformować rzeczywistości. Zwłaszcza w literackiej perspektywie śląskiej ubiegłego roku stanowią prace Tobiasza ciekawą pozycję.

Alfred Jesionowski

Pobyt Jana Kalinčiaka w Cieszynie

(Na marginesie monografii o Kalinčiaku)

Jak to już dr Wacław Olszewicz w swym artykule o możliwościach polsko-słowackiej współpracy na terenie Śląska Cieszyńskiego (Zaranie Śląskie, r. 10: 1934, z. 1, s. 1—10) pisał, wśród wielu przyczynków do dziejów polsko-słowackiej współpracy wymienić należy pobyt znanego poety i powieściopisarza słowackiego Jana Kalinčiaka w Cieszynie, jako dyrektora gimnazjum w latach 1858—1870. W niedawno wydanej książce słowackiego historyka literatury Andrzeja Mráza, po-

święconej życiu i twórczości Jana Kalinčiaka¹⁾, znajdujemy nieco materiałów, rzucających nieco nowego światła na ten ciekawy epizod z dziejów polsko-słowackich stosunków kulturalnych.

Kalinčiak mianowany był dyrektorem cieszyńskiego gimnazjum 19 kwietnia 1858 r.; otrzymał o tym wiadomość w Modrej, słowackim miasteczku, gdzie przez szereg lat był również dyrektorem gimnazjum. O swej nominacji do Cieszyna pisał do swego przyjaciela, słowackiego działacza narodowego Józefa Miłostawa Hurbana: „Moja nominacja, jak mi pisze Lichard²⁾, robi tu straszną sensację; to jest pięść w oko dla madziaronów...” (Mráz, 91—92). Dla Słowaków nie było dobrze, że Kalinčiak odchodzi do Cieszyna, ale z drugiej znów strony przeniesienie się jego ścierać zaczęło młodzież słowacką do cieszyńskiego gimnazjum. Zdawał tu swoje egzaminy młody wówczas Svetožar Hurban, syn Józefa, znany potem jako Vajanský, wielki poeta słowacki. Mráz przytacza wyjątki z listu Kalinčiaka do Józefa Hurbana; Kalinčiak doradzał, co ma Svetožar studiować, z jakich książek ma się uczyć. „Jeżeli dłuższy czas tu zostaną w Cieszynie” — pisał w tymże liście — „będę czuwał nad naszymi chłopcami, a zwłaszcza nad naszymi dobrymi ludźmi. Svetožara wepchniemy do alumnatu, gdzie będzie miał i utrzymanie, a chłopców wychowamy jak buki.”

Dla Kalinčiaka przejście z Modrej do Cieszyna znamionowało przejście w teren trudniejszy. Wynikało to przede wszystkim ze składu narodowościowego uczniów tej szkoły: w roku szkolnym 1859/1860 było tam 122 Polaków, 42 Czechów, 41 Niemców, 36 Słowaków, 21 Żydów i 7 Węgrów. Kalinčiak opiekował się uczniami narodowości słowiańskich, wprowadził dla uczniów czeskich, polskich i słowackich nauczanie w ich ojczystym języku. Gdy władze szkolne wykryły wśród uczniów tajną organizację o zabarwieniu sło-

wackim „Slavia”, Kalinčiak swoim autorytetem pokrył młodocianych spiskowców i z tajnego stowarzyszenia uczynił jawną, legalną organizację pod jego kierownictwem. Starał się o zaopatrywanie biblioteki w dzieła polskie i słowackie, a dzięki darowi lwowskich księgarzy utworzył dla uczniów-Polaków polską biblioteczkę. Jako świadectwo pracy i wysiłku, wkładanych przez Kalinčiaka w swoje obowiązki dyrektorskie, pozostały jego przemówienia do młodzieży, przepojone szlachetnością i idealizmem, którymi chciał on natchnąć uczniów.

Pobył Kalinčiaka w Cieszynie, choć go wyrwał ze środowiska ojczystego, nie zerwał jego więzów z narodowym ruchem słowackim. Utrzymywał on dalszy kontakt ze słowackimi działaczami, otrzymywał słowackie czasopisma. Podczas jego pobytu w Cieszynie powstała tu jego powieść „Reštavracia” (1860), a potem „Mnich” (1862). Pisywał stąd szereg drobniejszych korespondencji i przyczynków do kalendarzy i czasopism, m. in. już pod koniec swego pobytu w Cieszynie artykuł o polskiej bibliotece w cieszyńskim gimnazjum. Zresztą poza Kalinčiakiem byli i w Cieszynie w tym czasie inni Słowacy: w gimnazjum uczył religii Słowak J. Borbis, a od r. 1867 mieszkał w Cieszynie wielki patriota i budzieli słowacki M. M. Hodža.

Za to pobyt Kalinčiaka w Cieszynie silnie związał go ze środowiskiem polskim w Cieszynie. Kalinčiak już poprzednio interesował się literaturą polską, jeszcze w lewockim gimnazjum uczył się języka polskiego a na bratysławskim uniwersytecie wchłaniał mistrzów poezji polskiej; na jego twórczość silny wpływ wywarł Czajkowski. W Cieszynie Kalinčiak współpracował blisko z Polakami; 12 stycznia 1861 r. pisał do swego przyjaciela Viktorina: „W grudniu musiałem chcąc nie chcąc do wychodzącej tu *Gwiazdki* napisać artykuł o organizacji Węgier” (Mráz, 108). Wyrazem tego wzajemnego zainteresowania był druk na łamach „Gwiazdki Cieszyńskiej” pierwszego polskiego przekładu „Reštavracji” Kalinčiaka, przekładu dokonanego przez Pawła Stalmacha.

¹⁾ Andrej Mráz, Ján Kalinčiak, Turzański Sw. Marcin, 1936.

²⁾ Działacz słowacki, przyjaciel Kalinčiaka.

W roku 1868 cieszyńska Czytelnia Ludowa wybrała Kalinčiaka wraz z M. M. Hodżą na swych członków założycieli.

W roku 1869 otrzymał Kalinčiak ze swego stanowiska dymisję i na początku 1870 r. opuścił Cieszyn. Zmarł on w rok później, w czerwcu 1871 r.

Jan Reychman

Wacław Olszewicz, *Słowacja w piśmiennictwie polskim*, Odbitka z pracy zbiorowej „Słowacja i Słowacy”, t. 1 <Biblioteka Słowacka Nr 1>, Kraków 1937, Nakł. Sekcji Słowackiej T-wa Słowiańskiego, 8^o, str. 66.

W szlachetnym dążeniu do umożliwienia wzajemnego poznania się dwóch bratnich narodów, Słowaków i Polaków, wydała sekcja słowacka Towarzystwa Słowiańskiego w Krakowie tom 1 Biblioteki Słowackiej. W pracy tej pisze między innymi Wacław Olszewicz o wzajemnych stosunkach polsko-słowackich w ciągu dziejów. Warto zapoznać się choćby pokrótce ze znaczeniem i charakterem tej pracy. Olszewicz wziął sobie za cel krótkie przedstawienie dziejów słowakofilstwa polskiego od wieku XVI począwszy do chwili obecnej, *nie przez zestawienie szeregu pozycji bibliograficznych, lecz jedynie przez przedstawienie najgłośniejszych ech, jakimi odbiła się w piśmiennictwie polskim ziemia Słowaków, „kraj głośnych gór i cichych ludzi”, ich dola i — zwłaszcza — niedola.*

Ze zadania wywiązuje się autor w niewielkiej stosunkowo pracy bardzo skrupulatnie i z podziwu godną miłością do tematu i obiektu swego studium. Autor przebiega w pięknych, chociaż bardzo ścięśnionych skrótach dzieje znajomości Słowacji i Słowaków w Polsce od wieku XVI, od Marcina Bielskiego, Górnickiego, Spicyńskiego, Strykowski, Kromera, Paprockiego — do Staszica jako w pewnego rodzaju wstępie do słowakofilstwa polskiego, słusznie zaznaczając, że pojęcie Słowak i Sławak (Słowianin) stanowi początkowo w terminologii polskiej pojęcie równoznaczne aż do wieku XVIII.

W dalszych rozdziałach pracy autor wchodzi już w istotę zagadnienia i począwszy od pierwszej połowy wieku XIX już dokładnie analizuje znajomość tematu wśród wielu pisarzy polskich i to pisarzy wszelkiego rodzaju. Porusza poetów, historyków, etnografów, językoznawców, przyrodników, geografów, publicystów idąc w porządku chronologicznym, tak że lektura pracy Olszewicza jest równocześnie znakomitą przykładem rozszerzania się horyzontu znajomości tego kraju i ludzi w całym piśmiennictwie polskim od czasów najdawniejszych do chwili obecnej. Ważniejsze momenty emocjonalne ilustruje Olszewicz pięknie dobranymi cytatami, nie długimi, ale charakterystycznymi dla danego zagadnienia czy tezy.

Gdziekolwiek zaczepia autor vice versa znajomość Polski ze strony wybitnych Słowaków, względnie ocenę tychże ze strony wybitnych pisarzy polskich (Mickiewicz — Kollár). Kraj, ludzie, życie, dola i niedola Słowaków przewija się w opracowaniu Olszewicza jak barwna mozaika, składana w ciągu prawie trzech i pół stuleci, które dokładniej autor analizuje, przez zdania, poglądy, wiadomości i sądy o Słowakach u pisarzy polskich.

Z pracy wynika naocznie, jak powoli, ale systematycznie i stale rozszerza się horyzont polskiego społeczeństwa, o ile idzie o wyodrębnienie narodu słowackiego jako osobnej grupy Słowian, jako narodu. Widzimy bowiem i w naszym piśmiennictwie próby utożsamiania np. języka słowackiego z czeskim (Kirkor 1818—1886), co dziś kontynuuje jeszcze niezbyt szczęśliwie nauka i publicystyka czeska, ku zgorszeniu samych Słowaków zupełnie słusznie protestujących przeciw temu. Równocześnie jednak z pracy Olszewicza widzimy, że Polacy dość wcześnie, bo już w początkach XIX stulecia zorientowali się, że Słowacy stanowią naród odrębny i ich literaturę narodową wyraźnie wyodrębniać poczynają jako literaturę osobną, — słowacką. Nawet termin Słowacja „Słowakia” dość wcześnie, bo już z końcem XIX stulecia

pojawia się na określenie kraju (Alex. Świętochowski, 1875). *Niestety mimo wszystko nie mogę podzielić optymizmu autora, że Słowacja dla Polaków to nie „terra incognita”, które to zdanie Henryka Müldnera autor gwałtownie zwalcza, powodowany widocznie subiektywną, dobrą znajomością rzeczy i sentymentem.* Dla badaczy i uczonych pewnie że tak. Ale wszak do dziś dnia pokutuje jeszcze wśród wielu Polaków zdanie, że Słowak a Czech to pojęcia jeśli nie te same, to w każdym razie niewiele różniące się. Całkiem niewielu ludzi w Polsce rozróżnia też język czeski od słowackiego, turyści polscy żeglujący na łódkach przez Pieniny krzyczą do Słowaków stojących na starowiejskim brzegu Dunajca „na zdar”, wielu nie rozróżnia nawet hymnów słowackiego i czeskiego i myśli, że „Kde domov muj” to hymn słowacki, wielu zaś, zapytać można, Polaków przeczytało choćby piękną książkę Zawilińskiego o Słowakach? — Nie zawsze też orientuje się nasza publicystyka w tych sprawach i dla niej praca Olszewicza powinna być „liber aureus” i o ile ktoś chce pisać o Słowakach, powinien ją przeczytać. Dla pełności obrazu zaznaczyć wypada, że autor obejmuje w końcowych ustępach swej pracy i przechodzi kolejno wszystkie środowiska naukowe polskie piszące obecnie o Słowakach jak Kraków, Lwów, Warszawa, Poznań i wreszcie Cieszyn. Całość pracy Olszewicza piękna i bogata w treść zyskałaby bardzo, gdyby dołączono konieczny dla orientacji spis autorów, gdyż jak na razie jest to oprócz bibliografii E. Kołodziejczyka jedyna tego rodzaju publikacja w Polsce i długo jeszcze pewnie nią pozostanie. Autor przyczynił się przez nią waleśnie do ożywienia zainteresowań polskiego czytelnika sprawą słowacką i na tym polega wielkie znaczenie jego rzetelnej, cennej i pożytecznej pracy. Dla prasy zaś polskiej praca Olszewicza jest nieocenionym Vademecum w dobre zainteresowania się społeczeństwa polskiego losem naszych serdecznych przyjaciół słowiańskich za Tatrami.

Fr. Kulisiewicz

Marian Gotkiewicz, *Od Dunaju po Tatry <Z wędrówek po kraju>*, Odbitka z pracy zbiorowej „Słowacja i Słowacy”, t. 1 <Biblioteka Słowacka Nr 1>, Kraków 1937, Nakł. Sekcji Słowackiej T-wa Słowiańskiego, 80, str. 108 i mapa.

Praca powstała prawdopodobnie jako owoc zainteresowań ucznia, wzbudzonych przez wspaniałych nauczycieli, profesorów U. J. Ludomira Sawickiego, Jerzego Smoleńskiego, Wład. Semkowicza, którzy potrafili specjalnie zainteresować swych słuchaczy sprawami Słowacji. Autor obiera ponętną formę interesującego itinerarium po ziemiach słowackich od Dunaju po Tatry. Jak na pracę częściowo geograficzną, cechuje pracę Gotkiewicza naprawdę rzadko spotykana w tego rodzaju studiach barwność i żywość opowiadania i przedstawienia rzeczy, piękny język, znajomość kraju, liczne, dobrze dobrane cytaty z dzieł poetyckich ilustrujących dany odcinek terenu i naprawdę artystycznie dobrane fotografie ziem i zabytków historycznych kraju.

Autor przebiega kraj ściśle według planu naznaczonego w tytule. Wywody geograficzne i naukowe autora nie nużą, bo umie zręcznie zmusić czytelnika do ich przeczytania barwnością treści i języka, ożywić je miłością kraju i ludzi, ciekawym fragmentem dziejów, folkloru, baśni czy legendy, wreszcie piękną ilustracją, czy też cytatem z autora polskiego lub słowackiego.

Przedstawienie treści pracy miałyoby się z celem. Wystarczy powiedzieć, że kto chce odbyć wędrówkę po pięknym kraju słowackim, ten przeczyta chętnie książkę Gotkiewicza. Powiedzie go on w miłej, barwnej wędrówce od Dziewina, Bratysławy po Liptów i Tatry, po Spisz i Orawę, po wietrzny szczyt Pilska. Pracę cechuje obok możliwej w tego rodzaju studium ścisłości naukowej, metoda lekka, francuska, metoda żywego i barwnego opisu, gdzie autor nie chowa się poza balastem swej uczoności, lecz przemawia sercem i uczuciem własnym do czytelnika. Przemawia obrazowo. Rzeczowo nie mo-

żna pracy nic zarzucić. Autor zna kraj, znać go przewędrował, „przeżył” i opisał, jak go widział duszą uczonego i odczuł sercem przyjaciela Słowaków. Naprawdę niewiele opisów ziemi polskiej dałoby się porównać z pracą Gotkiewicza. Pisał tak niegdyś swój przewodnik po Tatrach W. Eliasz, który widział z Gałucha „kulistość ziemi” swoimi zakochanymi w Tatrach oczami.

Od wydania pracy Zawilińskiego żadna z prac o kraju Słowaków nie zdobywa czytelnika taką bezpośredniością odczuwania charakteru kraju, jego przyrody i krajobrazu, jak praca Gotkiewicza. Stare zamki słowackie, ich dzieje, ich urok, piękne okolice, romantyczne ustronia, szumne rzeki słowackie, góry, zabytki itd. potrafi autor opisać, ożywić historią, ocenić ich wartość krajobrazową, czy zabytkową, słowem odmalować ich urok i piękno. Wiedzie też czytelnika w krainę podziemi słowackich, w słynne groty itd. Jako filologa klasycznego zainteresowało mnie np. pytanie, czy też autor wspomni przy Trenczynie o Rzymianach i rzymskim napisie tamże. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że tak (str. 46) i musiałem przyznać, że obok barwności opisu pracę autora cechuje duża naukowa ścisłość, co przy beletrystycznej prawie formie jego opisu jest dowodem, że autor pracę swoją pojął i wykonał i mądrze i pięknie. Niektóre działy pracy, np. W górze Wagu (39—56) są prawdziwymi cackami literatury podróżniczej, bo łączą ścisłość opisu z pięknem treści i języka. Można by powiedzieć, że autor trochę więcej powinien zająć się przy opisie Spisza sprawą ludności polskiej tamże.

Wszak sami Słowacy przyznają, że t. zw. ludność „górska” za Magurą, to Polacy, a w starowiejskiej farze oglądać można polską kronikę i spis książek używanych tamże do kazań od Skargi począwszy, a jeszcze niedawno były tam polskie kazania. Autor porusza wprawdzie tę sprawę przy końcu rozdziału i dokumentuje ją zresztą zdaniem słowackiego uczonego o „zagubieniu 30.000 Polaków na Spiszu” przez madyjskich bra-

tanków przy spisie w roku 1880. — Szkoda, że nie wspomniał, jak to wygląda dziś. Jak ludność tamtejsza gorzko dziś oplakuje swoją dolę, odcięta od świata granicami i przyrodą, jak zazdrości nawet t. zw. „polskiej biedy” naszym góralom ze Szczawnicy. Według spisów czeskich nie ma tam już w ogóle Polaków, chociaż przecież najbardziej zrozumiałą gazetą dla tej ludności była do niedawna jeszcze „Gazeta Podhalańska”, wychodząca w Nowym Targu. Autor jednak pisał przeciwko itinerarium, nie dzieło polityczne. Zresztą rzecz poruszył ogólnie, ale poruszył. — Nie mogę powiedzieć, bym też trochę nie znał ziemi słowackiej. Przyznać jednak muszę, że praca Gotkiewicza wiele mnie pouczyła. Nauczyła mnie przede wszystkim patrzeć uważniej na kraj i jego piękno, a dla nie znających kraju słowackiego praca ta przeczytana w całości powinna być chyba bardzo miłą lekturą. Nawet Słowacy niewiele posiadają podobnie pięknych opisów swego kraju.

Piękny kraj słowacki tak bliski naszym sercom znalazł w Gotkiewiczu dobrego polskiego piewcę. Powinien go poznać każdy, kogo interesuje ta kraina słowiańska za Tatrami, której z serca życzymy, by doczekała się dobrych czasów, na które czeka od wieków. Piękny kraj, miły naród ci Słowacy i tym się tłumaczy może również ten sentyment, jaki przy jego opisie znalazł autor pracy „Od Dunaju po Tatry”, za którą to pracę wdzięczni mu będą zarówno Polacy, jak i Słowacy.

Towarzystwo zaś Słowiańskie, dobrze założyło się dla sprawy wzajemnego poznania się i zbliżenia tych dwóch narodów przez pierwszy tom swojej „Biblioteki Słowackiej”.

Franciszek Kulisiwicz

Józef Gołębek, *Literatura serbsko-łuszycka*, Katowice 1938, Instytut Śląski. (Drukarnia „Dziedzictwa” w Cieszyźnie). 8°, s. 2, 269, 3 nłb. — Pamiętnik Instytutu Śląskiego, V.

Książką powyższą nauka polska zrehabilitowała się wobec świata słowiańskiego od-

nośnie do Łużyczan, dotychczas bowiem zajmowali się nimi przeważnie Czesi i Słowacy. Fakt ten rzuca się w oczy przy pobieżnym chociażby przeglądaniu załączonej bibliografii, w której między 53 pozycjami bibliograficznymi prace polskie zajmują zaledwie 11 pozycji i to przeważnie dawniejszych. W pięknej książce Gołąbka przewija się przed oczyma czytelnika szmat historii naszych braci — Serbów Łużyckich na tle ich pięknej choć nieraz nie bardzo oryginalnej literatury narodowej. Autor (nawiasem dodajmy, iż już w roku 1936 wydał w Warszawie publikację pt. „Łużyce, kraj i ludzie”) zaznacza w przedmowie, iż jego „Literatura serbsko-łużycka” jest próbą ujęcia całkowitego rozwoju piśmiennictwa Łużyczan i nie powinna być traktowana jako materiał zabytkowy kultury literackiej wymierającego narodu. Przeciwnie, zamierzeniem a zarazem dążeniem powyższej książki jest udowodnienie, że właśnie naród łużycki dzięki wypowiedaniu się we własnej mowie poetyckiej wykazuje stałą odporność, stały pęd do życia i nie rezygnuje z prawa do niego. Piśmiennictwo łużyckie nie maleje, lecz rozrasta się, nabiera znacznej różnorodności i w związku z tym wśród literatur słowiańskich zyskuje na znaczeniu.

Książka zaczyna się od rzutu ogólnego na pierwotne dzieje ludów słowiańskich, by z kolei przejść już do dziejów samych Łużyc. Krótko przedstawione są dzieje Łużyc i narodu łużyckiego, zwanego także serbskim, aż do czasów reformacji, oraz właściwości języka serbsko-łużyckiego. Luteranizm wniósł tolerancję religijną i w dużej mierze gwarantował rozwój języka narodowego. Dziś 90 procent Łużyczan należy do wyznania luterkańskiego, a tylko 10 procent do katolickiego. Rozdział trzeci opowiada o początkach piśmiennictwa łużyckiego, sięgającego swymi początkami XV wieku. Zapoznajemy się więc z pieśniami kościelnymi t. zw. kierluszami, z pierwszą książką itd. W wieku XVII widzimy już literaturę łużycką w pełni rozwoju, poznajemy pisarzy łużyckich a przede wszystkim zapoznajemy się z działalnością duchownych łużyckich, którzy prawie

wyłącznie przyczynili się do rozwoju języka i literatury łużyckiej. Nie pomija również autor młodzieży łużyckiej i jej oraz towarzystwom młodzieżowym poświęca cały osobny rozdział. Literatura serbsko-łużycka na równi z literaturami innych narodów przechodzi również okres t. zw. Oświecenia i okres romantyzmu. Wiek Oświecenia przyczynił się w dużym stopniu do rozwoju literatury łużyckiej oraz do rozwoju piśmiennictwa i szkół. Największe jednak wartości przedstawia literatura romantyczna, która w większym lub mniejszym stopniu przetrwała na Łużycach przez całe XIX stulecie. Charakteryzuje nam więc autor wszystkich pisarzy i poetów tego okresu, poczynając od Rudolfa Mjenia poprzez Handrija Zejlerja, autora hymnu łużyckiego „Rjana Łużica” (= Piękne Łużyce), Smolerja i Barta Čišinskiego. Poznajemy działalność Serbów Łużyckich w okresie Wiosny Narodów i w czasach późniejszych, widzimy ich pracę około założenia Macierzy Serbskiej w Budziszynie oraz ich pracę wydawniczą. Okres przedwojenny zamyka autor rozdziałem pt. Na wyżynach literackich, w którym obrazuje działalność całej plejady pisarzy i poetów serbsko-łużyckich.

Osobny rozdział opowiada o zmaganiach Łużyczan po wojnie światowej, kiedy to na równi z innymi ludami słowiańskimi dążyli do odzyskania wolności. Gdy zamierzenia ich spełzły na niczym, dzięki brutalnej reakcji Niemiec, zabrali się energicznie do pracy na polu literacko-kulturalnym. Dziś cały szereg pisarzy, poetów i naukowców łużyckich pracuje nad podniesieniem i tworzeniem literatury i kultury serbsko-łużyckiej. Zdają sobie sprawę, iż zadaniem ich jest utrzymanie i obrona odrębności narodowej Łużyczan pod każdym względem, a wiadomo, iż Niemcy dążą obecnie do bezwzględnej zgermanizowania. Ostatni rozdział poświęcony jest literaturze dolno-łużyckiej w XIX i XX wieku, która była właściwie kolebką literatury serbsko-łużyckiej. Przez fatalny tylko podział, dokonany w r. 1815, znalazła się

większa część Łużyczan pod panowaniem pruskim, gdzie w gorszych żyła warunkach od części górno-łużyckiej, znajdującej się do czasów ostatnich pod panowaniem saskim. Serbowie dążą do zniesienia owego podziału na część pruską i saską, albowiem w zjednoczeniu będą silniejsi i łatwiej oprą się coraz to nowym i silniejszym falom germanizacyjnym.

Wspomnieć na zakończenie warto, iż w literaturze serbsko-łużyckiej spotykamy szereg polonofilów. Wymienić można takie postacie, jak Jana Ernesta Smolerja (przełożył na łużyckie mazurek Dąbrowskiego „Jestże Lechia nie prepała”), Barta Čišinskiego, poetę-malarza Miercina Nowaka (autora „W polskich Bjeskidach” i „Z Bratisławy do Krakowa”) oraz Mato Kósyka, autora wiersza ku czci króla Jana III („Jan III Sobieski, sćit kśesćanow”).

Fr. Szymiczek

Gazeta Lekarska Śląska Polskiego, Organ Towarzystwa Lekarzy Polaków na Śląsku, r. 2: 1937, zes. 1—4, stron 164.

Założona przed dwoma laty wychodzi w dalszym ciągu, co dowodzi, że znalazła zrozumienie wśród świata lekarskiego i poparcie publiczności. To też, rozpoczynając drugi rok wydawnictwa, wyraża redakcja „Gazety” we wstępie do I zeszytu „podziękowanie swoim prenumeratorom i czytelnikom, prasie lekarskiej i codziennej oraz periodycznej za życzliwe odniesienie się do jej poczyną, bez których praca redakcji byłaby ciężka”. A dalej pisze: „Nasze cele na przyszłość pozostają niezmiennione. Chcemy, by tak ważna dziedzina wiedzy lekarskiej, jaką jest medycyna pracy, była uprawiana w piśmie czysto lekarskim. Tu oświecenie problemów jest najważniejsze. Pragniemy zachęcić lekarzy praktyków, parających się dzień w dzień z trudnościami tych problemów, by mieli na uwadze żywość i wielostronność tych spraw medycyny pracy. Otwieramy łamy nasze dla tych lekarzy, którzy w swym codziennym trudzie zechcieliby raz spojrzeć na swe doświadczenie jak gdyby z zewnątrz, z górują-

cego punktu i udzielić ich w postaci krótkich choćby notatek innym Kolegom. Wiemy, że na to potrzeba nieraz pewnego przeżycia się, ba, czasem zwalczania nieśmiałości. Niemniej wierzymy silnie, że pierwiej czy później na łamach naszych coraz to więcej będzie tych praktycznych notatek lekarskich, obok prac o zakroju ogólniejszym.

Prócz medycyny pracy staramy się uwzględnić i inne działy medycyny, gdyż pamiętamy o tym, iż wielu lekarzy w naszym kręgu widziałoby chętnie większą wielostronność pisma lekarskiego, nieraz jednego, które czytują.

Wreszcie stałą naszą troską jest, by będąc Gazetą Lekarską Śląska Polskiego, odzwierciedlać możliwie wszelkie problemy lekarskie tej dzielnicy, choćby nawet nie wkraczały w dziedzinę medycyny pracy. Staramy się utrzymać przy tym taką równowagę, by nie stać się, chcąc być wszystkim... niczym”.

W tych słowach zawarła redakcja program na drugi rok swej pracy wydawniczej Gazety, który został istotnie wykonany.

Wśród artykułów są takie, które omawiają zagadnienia historyczne, o ile w tych sprawach brali udział lekarze, inne zajmują się sprawami społecznymi związanymi z medycyną, a najwięcej miejsca poświęcono z natury rzeczy zagadnieniom czysto lekarskim. Do pierwszych należy artykuł E. Kostki, zaczęty w ostatnim zeszycie ubiegłego roku i ciągnący się przez trzy zeszyty rocznika 1937 (1, 2 i 4), ale nie skończony, pt. Przyczynę historyczną do udziału lekarzy Polaków w odrodzeniu narodowym Górnego Śląska. W rozdziale zatytułowanym: Górny Śląsk w orbicie ruchów niepodległościowych, autor prostuje słusznie rozpowszechnioną błędną opinię, jakoby Górny Śląsk odrodził się narodowo dopiero pod wpływem Kulturkampfu czy ruchu wszechpolskiego. Uważa to twierdzenie za krzywdzące Górnolązaków, ponieważ nigdy nie przestali być Polakami, nie potrzebowali więc odradzać się narodowo.

Można co najwyżej mówić o wzroście uświadomienia politycznego, ale i tu trzeba postępować z ostrożnością, boć uświadomienie polityczne chłopów innych dzielnic Polski wcale nie było wyższe niż na Górnym Śląsku. Przytacza na dowód tego objawy zainteresowania okazywane na Śląsku dla wszystkich ruchów niepodległościowych narodu polskiego, szczególnie podczas powstania styczniowego.

Spraw społecznych dotyczą artykuły: *E. Hanke*, Stanowisko medycyny i Kościoła wobec sterylizacji, dalej *Z. Karfiol*, Krytyczne uwagi do ustawy Rzeszy Niemieckiej w celu zapobieżenia dziedzicznie choremu potom-

stwu i *Z. Dadlez*: Wojewódzki Zakład Leczniczo-Wychowawczy w Istebej.

Najwięcej artykułów tego rocznika odnosi się oczywiście do spraw czysto lekarskich, gdzie poszczególni autorzy dzielą się z czytelnikami „Gazety”, lekarzami, wynikami swoich doświadczeń leczniczych. Tytułów ich nie przytaczam, bo specjaliści, których one mogą interesować, sięgną do „Gazety”. Głównym celem „Gaz. Lekarskiej” jest opisywanie chorób zawodowych, pojawiających się najczęściej u pracowników związanych z przemysłem oraz informowanie czytelników o literaturze fachowej zagranicznej.

F. P.

Kronika

Z życia muzycznego Śląska

Życie muzyczne Katowic skupia się zasadniczo około dwóch ośrodków: Śl. Konserwatorium Muzycznego i Teatru im. Wyspiańskiego. Pierwszy z nich organizuje ruch koncertowy, opierając się o symfoniczny zespół Towarzystwa Muzycznego, drugi zaspokaja potrzeby muzycznego teatru, zwłaszcza operowego w oparciu o dojazdowe, doraźnie montowane zespoły solistów i miejscowe zespoły orkiestralne i chórowe.

O ile założenia organizacyjne ruchu koncertowego dają gwarancję pełnowartościowego rozwoju tej dziedziny życia kulturalnego na Śląsku — podwaliny organizacyjne ruchu operowego skazują tę dziedzinę kultury na Śląsku na bezowocną wegetację i obumarcie — jeśli nie zmieni tego stanu rzeczy rozsądna, dbała o przyszłość reforma.

Śląskie Konserwatorium Muzyczne jest placówką żywotną, pulsującą wolą i działaniem. Skupia ono grono poważnych solistów, którym zapewnia jakie takie warunki pracy nad sobą. Dlatego nie ma obawy o brak solistów: pianistów, skrzypków, wiolonczelistów, czy reprezentantów dętych instrumentów. Dlatego raz po raz spotykamy się

z pracą kameralnych zespołów instrumentów dętych i smyczkowych w różnych składach. Wreszcie wiemy, że konserwatorium grupuje w sobie co najtęższe siły młode, z których niejedna osiągnęła już dojrzałość koncertową, lub nawet gotuje się do skoku na szerszą arenę wirtuozowską.

Jeżeli te wszystkie wysiłki, jakich świadkami jesteśmy w łonie konserwatorium, uda się spleść z solidnym zespołem symfonicznym Towarzystwa Muzycznego, który ze swej strony — mimo ciężkich warunków bytu — pracuje nad doskonaleniem siebie, możemy rokować ruchowi koncertowemu na Śląsku bujny rozkwit.

Nic to, że dotychczasowy, istotny dorobek w okresie sprawozdawczym jest dość skromny, wyraża się bowiem dwoma symfonicznymi koncertami [soliści pp. Józef Cetner (skrzypki) i Leop. Janicki (śpiew)] i jednym wieczorem kompozytorskim (Włodz. Pożniak i Bol. Wallek-Walewski).

Inaczej jest z drugą pozycją muzycznego życia na Śląsku: z operą.

Tu wydaje się istotny dorobek bogatszy: wyraża się bowiem cyfrą sześciu przedstawień.

Jednakowoż przy bliższej analizie ujrzymy, że wykonywano jedynie dzieła „żelaznego” repertuaru: „Cyrulika Sewilskiego”, „Madame Butterfly”, „Halkę”, „Toskę”, „Poławiaczy Perła” i „Rigoletto”. Chociaż mieliśmy okazję słyszeć w nich solistów, którzy mogli zainteresować, jak Teiko Kiwę, Adę Sari i innych, — okoliczność ta jednak nie zdoła zaróżnić rumieńcem martwoty oblicza operowego Śląska.

Przeżywamy resztki swych zapasów. Nic się nie dzieje. Wykonawcy żyją w warunkach, które nie pozwalają im na pracę nad sobą, na myśli i dążenia. Nie mamy i w tych warunkach nie będziemy mieć koncepcji jakiegokolwiek artystycznego czynu w dziedzinie opery: czy to w dziele nowych pomysłów reżyserskich, czy odtwórczych.

Uzupełnieniem pracy dwóch głównych ośrodków muzycznych na Śląsku, o których wspomnieliśmy, są dorywcze występy solistów: słyszeliśmy pianistkę Chicko Harę, śpiewaka Jerzego Gardę, chór bułgarski „Gusła”.

Wreszcie czwartym czynnikiem, składającym się na całość muzycznego życia na Śląsku, są dążenia muzyczno-artystyczne niektórych grup amatorskich: oto w Chorzowie chór męski „Echo” urządził z okazji 15-lecia swej działalności kompozytorski wieczór F. Nowowiejskiego, o którym należy wspomnieć; oto amatorska grupa z Krakowa „Cricot” pokusiła się o wystawienie opery „Serva padrona” Pergolesi’ego.

Amatorskie wysiłki artystyczno-muzyczne mogłyby na Śląsku — ze względu na wyjątkowo bujny ilościowy rozrost miłośniczego ruchu muzycznego — odegrać w ukształtowaniu muzycznego życia dzielnic doniosłą rolę. Niestety! Poziom ogólny tej dziedziny muzyki nie zawsze zasługuje na uwagę i wzmiankę w sprawozdawczym saldzie kultury muzycznej.

W końcu należałoby nadmienić o ostatnim czynniku koncertowego, jeśli się tak wolno wyrazić, życia: to radio. Działalność tej instytucji zazębia się bezsprzecznie tak sil-

nie o najżywotniejsze sprawy ruchu koncertowego, że nie podobna jej pominąć. Z drugiej jednak strony i odrębność środków i metod pracy i jej wszechstronna rozległość sprawia, że działalności muzycznej radia trzeba by poświęcić osobne omówienie.

F. Sachse

Wystawa pamiątek z powstania styczniowego w Cieszynie

W jednej z sal Muzeum Miejskiego otwarto w 75 rocznicę powstania, 23 stycznia br., wystawę pamiątek z tego powstania, znajdujących się na Śląsku Cieszyńskim. Tu bowiem, w okresie budzącego się ruchu narodowego, objawiło się żywe zainteresowanie walką narodu polskiego o niepodległość. Tu, w Cieszynie, utworzył się pod przewodnictwem redaktora „Gwiazdki Cieszyńskiej” Pawła Stalmacha, komitet rewolucyjny pań, który werbował ludzi do udziału w powstaniu, pośredniczył w dostawie broni, zbierał składki na pomoc powstańcom i więźniom politycznym. Przez tę działalność naraził się Stalmach rządowi austriackiemu, stał się osobą podejrzaną politycznie, nad którą roztoczono nadzór policyjny.

Wiadomości o tych sprawach pochodzą z akt starostwa cieszyńskiego, znalezionych przy rejestracji materiałów archiwalnych zarządzonej przez Urząd Wojewódzki i wydzielonych z nich ze względu na ich ważność. Wystawę urządził Zarząd grupy cieszyńskiej „Związku Powstańców” z prezesem swim, refer. Starostwa K. Sadkowskim, przy pomocy wojskowości, głównie kpt. Kozaneckiego i zarządu Muzeum. Otwarcie jej, dokonane przez starostę Plackowskiego, było jednym z punktów programu uroczystego obchodu rocznicy powstania, oprócz akademii w teatrze miejskim, w której historię powstania przedstawił prof. Grudniewicz.

W związku z rocznicą i wystawą cieszyńską wydano specjalny numer „Powstańca” (1938, nr 3), w którym m. in. znajdują się artykuły Kazimierza Roli Sadkowskiego (Inicjatywa miejscowej grupy Zw. Powst.

Śl. w Cieszynie), Franciszka Popiołka (Cieszyn a powstanie styczniowe), Franciszka Kulisiewicza (Działalność Pawła Stalmacha w dobie powstania styczniowego), Stanisława Tomiczka (Walka cenzury austriackiej ze słowem polskim w okresie powstania styczniowego) i Waleriana Sobkowiaka (Czy Józef Chociszewski był emisariuszem powstańczym na Śląsku?) oraz parę utworów literackich: Gustawa Morcinka (Wspomnienie), ks. Emanuela Grima (Grób u Wykroczy) i Janiny Zabierzewskiej (Cieszyn 1863—1938). Okładkę zdobi reprodukcja rzeźby Jana Raszki, obrazującej symbolicznie walkę narodu polskiego o niepodległość. Całość, obficie ilustrowana, jest piękną pamiątką obchodu cieszyńskiego i wystawy z tej okazji urządzonej.

Wystawa obejmuje korespondencję władz austriackich, centralnych i śląskich ze starostwem cieszyńskim, okazy grafiki dotyczące wypadków wojennych, przede wszystkim kopie obrazów Grottera z jego popiersiem, fotografie uczestników powstania, pochodzące głównie z fary ewangelickiej w Ustroniu, gdzie się również odbywały schadzki emisariuszy zagranicznych z działaczami powstańczymi, dalej książki i broszury traktujące o powstaniu, pochodzące przeważnie ze zbiorów b. p. Tadeusza Regera, czasopisma współczesne z artykułami odośnymi i wreszcie okazy broni, kós i strzelb, którymi powstańcy walczyli, należące do zbiorów muzealnych i kupca Konczakowskiego. Wszystkie przedmioty wystawowe zaopatrzone są w napisy informujące o ich treści i znaczeniu. Naczelną w niej miejsce zajmuje portret Stalmacha ze spisem domniemanych lub rzeczywistych uczestników powstania, urodzonych na Śląsku.

Wystawa, urządzona z wielką starannością, budziła ogromne zainteresowanie i była licznie zwiedzana przez publiczność, zwłaszcza przez młodzież szkolną.

Muzeum Miejskie w Cieszynie

Muzeum cieszyńskie doznało w bieżącym roku budżetowym 1937-38 bardzo znaczne-

go rozszerzenia. Zarząd miasta, w trosce o dalszy jego rozwój, opróżnił z lokatorów całe I piętro budynku i przeważną część parteru, tak że w wielkim dwupiętrowym gmachu pozostały jeszcze tylko trzy osoby prywatne na parterze. W pokojach uzyskanych przez usunięcie lokatorów przeprowadzono gruntowny remont, przywracający im pierwotną postać, dano podłogi parkietowe i odpowiednie oświetlenie, po czym urządzono je na cele muzealne.

W jednej części I piętra, połączonej schodami z biblioteką Szersznika, złożono wszystkie zbiory biblioteczne, tak należące do Muzeum Miejskiego i Towarzystwa Ludoznawczego, jako też przeniesioną (w styczniu 1938) z lokalu Macierzy Szkolnej przy ul. ks. Świeżego bibliotekę dawnej Czytelni Ludowej, którą zaczął tworzyć Paweł Stalmach, oraz bibliotekę J. I. Kraszewskiego, ofiarowaną Cieszynowi przez syna powieściopisarza Franciszka. Biblioteki te znalazły zatem nareszcie stałe, odpowiadające celowi, umieszczenie i w myśl opinii wyrażonej przez A. Kawecką-Gryczową, urzędniczkę Biblioteki Narodowej w Warszawie (Zaranie Śląskie, r. 12: 1936, str. 88), zwłaszcza przy poparciu, którego jej użycza Ministerstwo WR i OP, „mają wszelkie dane, aby spełniać wartościową funkcję społeczną”. Wszystkie zbiory biblioteczne znajdujące się teraz w muzeum, obejmują blisko 50.000 tomów, wśród nich zaś bardzo wiele dzieł o wysokiej wartości. Każda z tych bibliotek posiada swój inwentarz i katalog kartkowy, przez co będzie ułatwione korzystanie z nich dla celów naukowych. Dla scalenia wszystkich księgozbiorów i zawiadostwa nad nimi byłby pożądanym osobny fachowy bibliotekarz, wchodzący w skład personelu muzealnego.

W drugiej części I piętra w siedmiu salach oddanych w tym roku do użytku muzeum umieszczono wszystkie zbiory przyrodniczo-geograficzne, przeniesione z tych pokoi, które zajęły biblioteki, i z jednego pokoju II piętra. W sali geograficznej ustawiono mapę plastyczną Beskidów Śląskich

Wł. Milaty, do której ma przybyć tegoż autora mapa plastyczna Polski, dalej mapę ścienną topograficzną Polski, Województwa i dawne mapy Śląska.

Na parterze oddał zarząd miasta do użytku 5 pokoi świeżo urządzonych. W trzech złożono materiały archiwalne, w dwóch zaś znalazła trwale umieszczenie wypożyczalnia I Koła Macierzy Szkolnej z biblioteką liczącą około 5000 tomów i z regularną obsługą subwencjonowaną przez Miasto.

W ten sposób cel, jaki przyświecał zarządowi miasta, aby budynek miejski, dawny pałac Larysza, przeznaczyć na dom kultury, został prawie w pełni urzeczywistniony. Własnymi środkami finansowymi stworzyło Miasto ośrodek kształcący dla młodzieży szkolnej, źródło informacji o przeszłości ziemi cieszyńskiej dla pracujących naukowo i szerszej publiczności, ognisko kultury, które promieniować będzie także dla tej części ludności, która pozostała poza granicami państwa polskiego.

Przeszkodą w całkowitym urzędzeniu I piętra na cele muzealne jest zajęcie jednego pokoju przez wyroby t. zw. przemysłu ludowego. Przed dwoma laty zawiązało się w Cieszynie Towarzystwo Przemysłu Ludowego, które wzięło sobie za zadanie wskrzeszenie istniejącego dawniej przemysłu ludowego i sztuki ludowej śląskiej, aby w tym celu wydobyć z ludu jednostki utalentowane, wykształcić je na pożytecznych pracowników i dostarczyć im zajęcia, a tym samym zmniejszyć liczbę bezrobotnych. Działalność swoją zaczęło od ceramiki.

Z przytoczonych wyżej względów zajęło się tą sprawą gorliwie starostwo cieszyńskie, poczyniło poszukiwania za materiałem odpowiednim i postanowiło założyć w Cieszynie, w lokalu b. Zakładu Wychowawczego, wytwórnię ceramiki ludowej na Śląsku, zobowią-

zuując się do kształcenia ludzi zręcznych z poszczególnych wsi śląskich, tak by ci po przeszkoleniu mogli sami tworzyć i wypalać w swych wioskach naczynia gliniane o charakterze śląskim.

W piśmie, podpisanym przez inicjatora akcji Adama Borkowskiego i urzędnika starostwa K. Sadkowskiego, zwrócono się do Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego o przydzielenie lokalu dla tej wytwórni i o udzielenie subwencji na urządzenie pracowni oraz prowadzenie kursu ceramiki przez Towarzystwo Przemysłu Lud. (luty 1937). W piśmie tym zaznaczono, że przy tym chodzi także o wyparcie wyrobów obcych, szablonowych i zastąpienie ich okazami sztuki ludowej.

Myśl ta została jednak wypaczona. Powstało przedsiębiorstwo prywatne, posługujące się firmą Tow. Przemysłu Lud., ale produkujące na sprzedaż wyroby garncarskie, wypalane w fabryce Gnidzińskiego w Strumieniu oraz skrzyneczki drewniane (imitacje tróweł śląskich) wyrabiane przez aresztantów czyli przedmioty produkowane nie przez ludowych garncarzy ani stolarzy, ani nie przeznaczone dla ludu. Z ludowością mają one tyle wspólnego, że motywy zdobnicze do nich zaczerpnięto z okazów sztuki ludowej znajdujących się w muzeum cieszyńskim, które kopiowali na miejscu zawodowi artyści, pracując w muzeum przez kilka miesięcy. Reprodukcyjne miały być oddane muzeum, zwłaszcza że właściwie muzea nie używają zbiorów do reprodukcji przed wykorzystaniem ich we własnym zarządzie, ale dotychczas się to nie stało.

Jeżeli zatem w niedługim czasie ma być rzeczywiście otwarta szkoła ceramiczna w Strumieniu (nie w Cieszynie), jak to się zapowiada urzędowo, w takim razie nastąpi częściowe przynajmniej spełnienie postulatów Towarzystwa Przemysłu Ludowego.

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE

wydaje

KWARTALNIK HISTORYCZNY (od r. 1866). Prenumerata
roczna zł 32,—

WIADOMOŚCI HISTORYCZNO-DYDAKTYCZNE. Prenume-
rata roczna zł 8,—

Członkowie, opłacający wkładkę roczną zł 20,—, otrzymują oba
pisma bezpłatnie

Adres: Lwów, Uniwersytet. Nr P. K. O. 152.226

CHOWANNA

Miesięcznik poświęcony współczesnym prądom
w wychowaniu i nauczaniu, rozpoczyna obecnie
dziewiąty rok swego istnienia. Czasopismo to
budzące i rozwijające zainteresowania dla naukowego traktowania zagad-
nień pedagogicznych, pogłębiające praktykę szkolną nauczycieli myślą nau-
kową oraz wskazujące drogi, środki i metody samokształcenia, zdobyło
sobie uznanie wśród szerokich sfer nauczycielstwa, któremu służy radą
i pomocą w tworzeniu nowej szkoły polskiej. — „Chowanna”, służąc pro-
pagandzie kultury pedagogicznej wśród nauczycielstwa, winna znaleźć
się w ręku każdego nauczyciela. Pismo jest polecone przez Ministerstwo
WR i OP (Dz. Urz. nr 1 z dnia 10 marca 1936, poz. 20).

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Szkolna 9

Prenumerata: za 10 zeszytów (480 stron druku) rocznie zł 5,—, półrocznie zł 3,—.

Administracja wysyła na żądanie bezpłatne egzemplarze.

P. K. O. 305.800, Instytut Pedagogiczny Katowice.

Pocztowe konto rozrachunkowe nr 18 Katowice.

NAJLEPIEJ POZNAJESZ ŚWIAT PRZEZ MIESIĘCZNIK

ZBLISKA I ZDALEKA

GEOGRAFIA — KRAJOZNAWSTWO — PODRÓŻNICTWO

Adres Redakcji i Administracji: LWÓW, Kościuszki 9, III p.
(gmach Uniwersytetu)

Prenumerata roczna: 3 zł, numer pojedynczy 35 gr

P. K. O. 501.002. — Przekaz rozrachunkowy Lwów 57

Zbiory Specjalne

29974

III

doublet

1938

Kzg 1 2359/67 100 000

I

a 24